

Keith Laumer

Zbrojna dyplomacja

(Diplomat-At-Arms)

Fantastic Science Fiction Stories, January 1960
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the novella "Diplomat-At-Arms" by Keith Laumer.

This etext was produced from Fantastic Science Fiction Stories, January 1960. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Zimne, białe słońce Northroyal zalewało potokiem światła siwy pył i jaskrawo-ubarwionych ludzi na wąskiej, hałaśliwej uliczce. Retief jechał powoli, nie zwracając uwagi na krzyki handlarzy, kalejdoskop zapachów unoszących się nad krzykliwym, kłębiącym się tłumem. Jego myśli błądziły wokół wydarzeń z odległej przeszłości, które działały się na dalekich planetach; myśli te marszczyły mu czoło i krzywiły twarz w ponurym wyrazie. Kościsty, ale silny wierzchowiec Retiefa, niekierowany, sam uważnie wybierał drogę, z rozdętymi nozdrzami, czujnymi oczyma wpatrując się w otaczający go zamęt.

Wierzchowiec odsunął się na bok, unikając zderzenia z pędzącym człowiekiem, i Retief pochylił się lekko, aby poklepać go po szyi. Ta praca ma również swoje lepsze strony, pomyślał; dobrze było znowu siedzieć na niezłym koniu, zrzucić z siebie szary, służbowy garnitur...

Jakiś człowiek o pokrytej brudem twarzy wepchnął wyładowany owocami wózek, niemal przed głowę zwierzęcia; koń spłoszył się i przewrócił wózek. Natychmiast wokół przygarbionego, szarowłosego człowieka zaczął się zbierać szemrzący tłum. Ściągnął cugle i siedział w siodle, groźnie spoglądając dookoła, przez ramiona przerzuconą miał starą, brązową pelerynę, u boku zniszczonego siodła wisiała mała, okrągła tarcza, a pokiereszowany, wykończony srebrem miecz miał przypięty na plecach, starym rycerskim sposobem.

Retiefowi to zadanie nie podobało się od samego początku, kiedy tylko się o nim dowiedział. Brał już udział w samotnych, szaleńczych eskapadach, ale było to dawno temu – w tej fazie swojej kariery, która definitywnie powinna już ulec zakończeniu. A informacje, które wyszły na jaw podczas wstępnego rozpoznania sytuacji, zniszczyły jego zawodowy dystans. A teraz miejscowi próbowali bawić się z nim w te stare turystyczne gierki; zapędzić cudzoziemca w kozi róg, a potem domagać się od niego pieniędzy.

No cóż, pomyślał sobie Retief, to jest równie dobra chwila jak każda inna, żeby zacząć grać swoją rolę; tutaj, w tym osobliwym mieście Fragonard, było dużo, cholernie dużo, spraw, które wymagały wyprostowania.

— **Z**robić przejście, wy szumowiny! — ryknął nagle. — Albo, na łańcuchy boga morza, wytnę sobie drogę przez was siłą! — Pchnął konia do przodu; z wygiętą w łuk szyją, wierzchowiec zrobił dziarski krok naprzód.

Tłum opornie zaczął się przed nim rozsuwać.

— Zapłać za towary, które zniszczyłeś! — zawołał czyjś głos.

— Niech kramarze lepiej pilnują swojego dobra — parsknął głośno, jego oczy czujnie wyławiały twarze znajdujących się przed nim ludzi. Wysoki osobnik o długich, żółtych włosach, stanął prosto na jego drodze.

— Tutaj nie ma żadnych szumowin, ani kramarzy! — gniewnie oświadczył. — Tylko prawdziwi kawalerowie Cesarskiego Klanu...

Jeździec pochylił się w siodle, aby popatrzeć prosto w oczy swojego przeciwnika. Wydawało się, że jego brązowa twarz wręcz promieniuje pogardą.

— Od kiedy to prawdziwy Kawaler zajmuje się handlem? Jeżeli odebrałeś wychowanie zgodne z Kodeksem, to powinienes wiedzieć, że szlachcic nie brudzi sobie rąk ciułaniem groszy, oraz że cesarskie główne trakty, należą do konnych rycerzy. A więc, zabieraj swój tyłek z mojej drogi, jeżeli chcesz go ocalić w całości.

— Schodź z tego kucyka! — krzyknął wysoki młodzieniec, sięgając do uzdy. — Pokażę ci nieco praktycznej znajomości Kodeksu. Wyzywam cię, zejść na ziemię i broń się!

W tej samej chwili w ręku szarowłosego mężczyzny pojawiała się antyczna broń energetyczna Straży Cesarskiej, o grubej lufie. Pochylił się niedbałym ruchem nad wysokim łękiem swojego siodła, opierając się o niego lewym łokciem, z pistoletem przełożonym przez wysuniętą prawą rękę, pewnie wymierzonym w znajdującego się przed nim człowieka.

Na twardej, starej twarzy pojawił się ponury uśmiech.

— Nie będę sobie brudził rąk, waśniąc się na ulicy z żółtodziobem bez żadnego znaczenia — oznajmił. Skinął głową w stronę łuku, rozpościerającego się ponad ulicą nieco dalej z przodu. — Pójdź za mną za ten łuk, a będziesz godny miana człowieka i Kawalera.

Po tych słowach ruszył do przodu, nikt nie ośmielił się mu przeszkodzić. Jechał przez tłum w milczeniu, zatrzymując się przy bramie, przegradzającej ulicę. To będzie pierwszy prawdziwy test dla jego fałszywej tożsamości. Papiery wydane mu poprzedniego dnia przez Biuro Cła i Imigracji w porcie kosmicznym Fragonard, zostały spalone razem z cywilnym ubraniem. Od tej chwili musiał polegać na uniformie i stalowych nerwach.

Jakiś szczupły człowiek o zesnurowanych ustach, w mundurze podporucznika Household Escort Regiment, omiótł go wzrokiem, zmrużył oczy i uśmiechnął się kwaśno.

— Co mogę dla ciebie zrobić, wujku? — spytał beztroskim tonem, opierając się o rzeźbioną przyporę, utrzymując bramę z kutego żelaza. Żółtozielone światło słoneczne, przesączało się przez liście gigantycznych drzew linden, rosnących wzdłuż brukowanej ulicy.

Szarowłosy mężczyzna popatrzył na niego z góry.

— Pierwszą rzeczą, którą mógłby pan zrobić, panie podporuczniku — powiedział głosem w którym brzmiała zimna stal, — to przyjąć postawę zasadniczą.

Szczupły człowiek wyprostował się, marszcząc brwi.

— Co to ma znaczyć? — Jego twarz stwardniała. — Proszę zejść z tego zwierzaka i pokazać swoje papiery – jeśli w ogóle jakieś pan ma.

Jeździec nawet się nie poruszył.

— Biorę pod uwagę fakt, że pański pułk złożony jest z próżniaków, którzy nigdy nie nauczyli się podstaw wymaganych od żołnierzy — spokojnie oświadczył. — Ale jeśli już przyciągnąłem pańską uwagę, to nawet pan powinien rozpoznać insygnia dowódcy liniowego.

Oficer wpatrywał się, spoglądając na obszarpaną postać starszego człowieka. Robiąc to zauważył zmatowiały złoty szew wpleciony w stylizowanego gniewnego smoka, z powodu wyblakłego koloru niemal niewidoczny na ciężkiej welwetowej pelerynie.

Oblizał usta, odchrząknął, wahając się co zrobić. Co w imię Umęczonego miałyby robić wysokiej rangi oficer liniowy na tej starej, wychudzonej szkapie, ubrany w proste, zniszczone rzeczy.

— Panie dowódco, proszę o okazanie dokumentów — powiedział w końcu.

Dowódca odrzucił do tyłu pelerynę, aby wystawić ozdobną rękojeść pistoletu energetycznego.

— Oto są moje listy uwierzytelniające — stwierdził. — Otwieraj bramę.

— Słucham? — zapluł się podporucznik. — Co to...

— Jak na człowieka, który bierze cesarskie pieniądze — powiedział starszy człowiek, — wykazuje pan kryminalną ignorancję w uprzejmościach powinnych w stosunku do oficera w randze generała. Proszę otworzyć bramę, albo rozwalę ją na kawałki. Nie zabroni pan przejazdu cesarskiemu oficerowi liniowemu. — Wyciągnął pistolet.

Podporucznik przełknął ślinę, przez głowę przeleciała mu myśl o uderzeniu na alarm albo naleganiu na okazanie dokumentów... potem jednak, w miarę jak pistolet unosił się coraz wyżej, nacisnął na przycisk i brama stanęła otworem. Ciężkie kopyta wychudzonego konia zaklekotały obok niego; przelotnie dostrzegł niewielki znak na jego zapadniętym boku. Po chwili patrzył już na oddalające się plecy strasznego starszego człowieka. To był naprawdę dowódca liniowy! Ten stary głupiec miał na sobie fortunę w wartościowych antykach, a zwierzę nosiło znak czystej krwi rumaka bojowego. Lepiej będzie o tym zameldować... Chwycił właśnie komunikator, kiedy pod bramą pojawił się wysoki młodzieniec o rozgniewanej twarzy.

Retief powoli jechał dalej wąską ulicą, obramowaną budkami markietanów, kowali, specjalistów od broni, giermków do wynajęcia. Pierwsza przeszkoda była za nim. Nie rozegrał tej sytuacji w specjalnie wyrefinowany sposób, ale nie był w nastroju do prawienia gładkich słówek. Od czasu rozpoczęcia tej roboty przepełniał go gniew, a to, jak sam sobie wyrzucał, nie powinno mieć miejsca. Zaczynał żałować swojej wyniosłej postawy wobec tłumu pod bramą. Powinien kierować swój gniew na tych, którzy byli za to wszystko odpowiedzialni, a nie na przypadkowo napotkanych ludzi. Ponadto agent Korpusu powinien zachować chłodną głowę przez cały czas, niezależnie od rozwoju wypadków. Zasadniczo, były to te same uwagi krytyczne, jakie wypowiedział Magnan, wręczając mu obecny przydział, trzy miesiące temu.

— Retief, kłopot z tobą polega na tym — stwierdził Magnan, — że z niechęcią przyjmujesz tradycyjne ograniczenia Służby; zachowujesz się zbyt wyniośle, w sposób bardzo przypominający wolnych agentów...

Jego reakcja na te słowa, zdawał sobie z tego sprawę, tylko dowodziła słuszności uwag zwierzchnika. Powinien odpowiedzieć na nie skruszonym skinieniem głową, wskazującym na gorliwe postanowienie poprawy, a zamiast tego, siedział z pozbawioną wyrazu twarzą, zachowując milczenie, które w sposób oczywisty wyglądało na sprzeciw.

Przypomniał sobie jak Magnan poprawił się w fotelu, odchrząknął i zmarszczył brwi, spoglądając na leżące przed nim papiery.

— A teraz, co do twojego następnego przydziału — powiedział, — mamy pewną bardzo poważną sytuację, rozwiązanie której może mieć krytyczne znaczenie dla tego obszaru.

Retief niemal uśmiechnął się na to wspomnienie. Magnan stworzył sobie zabawny dylemat. Z jednej strony konieczne było podkreślenie dużego znaczenia stawianego mu zadania, z drugiej jednak nie można było dać Retiefowi satysfakcji z powierzenia mu czegoś bardzo ważnego; w ten sposób przełożony wyraziłby brak zaufania Korpusu do niego, jednocześnie zwracając jego uwagę na wielkie zaufanie w nim pokładane. To niesamowite, jak Magnan potrafił racjonalizować swoją osobistą niechęć w formie prawdziwej troski o ważne interesy Korpusu.

Magnan w bardzo okrężny sposób poruszył naturę jego zadania, przypominając mu jego turystyczną wizytę na Northroyal, uroczej, zacofanej, małej planecie, zasiedlonej przez Kawalerów, uchodźców po rozpadzie Cesarstwa Lili.

Retief znał historię starannie zorganizowanego, dumnego, zakochanego w tradycji, społeczeństwa Northroyal. Kiedy rozpadła się Stara Konfederacja, na cywilizowanych planetach wyrosły dziesiątki mniejszych rządów. Przez pewien czas, Cesarstwo Lili należało do najbardziej energicznych i żywotnych spośród nich, obejmując dwadzieścia jeden zamieszkałych planet, utrzymując doskonałe siły zbrojne, pod ochroną których lilijska flota handlowa prowadziła interesy z tysiącami odległych planet.

Kiedy nadeszły czasy Concordiatu, który zorganizował poprzednio niezależne państwa pod nową Galaktyczną jurysdykcją, Cesarstwo Lili stawiało opór i przez pewien czas powstrzymywało potężne floty Concordiatu. Oczywiście, w końcu dzielne, ale mniej liczne lilijskie wojska zostały zepchnięte do bram swojej ojczystej planety. Planetę Lili uratował przed katastroficznym bombardowaniem, jedynie spóźniony rozejm, gwarantujący samo-określenie dla Lili, pod warunkiem zaprzestania wrogości, rozwiązania lilijskiej floty i wygnania dla wszystkich członków Orszaku Imperialnego, który w warunkach lilijskiej tradycji klanowej, liczył ponad dziesięć tysięcy osób. Dotyczyło to każdego mężczyzny, kobiety czy dziecka, którzy rościli sobie prawa do najbardziej nawet odległych związków krwi z Cesarzem, razem z ich służbą, klientelą, wasalami oraz protegowanymi. Zakończenie przenosin zajęło trzy tygodnie, ale w końcu Kawalerowie, bo tak ich określano, zostali przewiezieni na niezamieszkałą planetę chłodnych mórz o nazwie Northroyal. Popularna legenda związana

z tym exodusem, głosiła, że statek przewożący Cesarza wyślizgnął się po drodze na wygnanie oraz, iż władca poprzysiągł, że powróci dopiero w dniu, kiedy będzie mógł to zrobić na czele wyzwolenczej armii. Nigdy więcej już o nim nie słyszano.

Powierzchnia lądów na nowej planecie, na którą składały się niezliczone wyspy, łącznie wynosiła pół miliona mil kwadratowych. Dobrze wyposażeni w podstawowe zapasy i sprzęt, Kawalerowie przystąpili do pracy i przekształcili swoje skaliste lenno w nienajgorsze, dobrze zintegrowane – w tradycyjny sposób – społeczeństwo, i dzisiaj eksportowali owoce morza, maszyny precyzyjne oraz literaturę turystyczną.

Northroyal była najbardziej znana z tego ostatniego obszaru. Historie o pompatycznych i kolorowych tradycjach, z osobliwymi gospodami serwującymi dobre jedzenie, pięknymi dziewczynami, pokazami dzielnej królewskiej kawalerii oraz legendarnym dorocznym Turniejem Lili, przyciągały całkiem niezłą liczbę turystów, i Biuro Podróży Kawalerów, było obecnie jednym z największych dostarczycieli gotówki w wymianie zagranicznej.

Magnan wygłosił pogadankę o wysokim potencjale przemysłowym Northroyal i zespole dobrze wyszkolonych cywilnych nawigatorów kosmicznych planety.

— Zadaniem Korpusu — przerwał mu Retief, — jest poszukiwanie i eliminacja zagrożeń dla pokoju w Galaktyce. W jaki sposób mogłaby tutaj wchodzić w grę niewielka książkowa planeta, taka jak Northroyal?

— Dużo łatwiej niż możesz sobie to wyobrazić — odparł Magnan. — Mamy tam dobrze skonsolidowane społeczeństwo, dumne, świadome tradycji własnej siły militarnej w przeszłości, posiadane kiedyś imperium. Sprytny wichrzyciel, potrafiący we właściwy sposób odwołać się do tłumu, mógłby tam znaleźć dla siebie dobrze przygotowany grunt. Przekształcenie fabryk na produkcję militarną, wymagałoby tylko polecenia wydanego przez część członków rządu planetarnego, podobnie przekształcenie marynarki handlowej w wojenną – i staniemy w obliczu poważnej nierównowagi sił – w centrum burzy.

— Wydaje mi się, że opowiada pan nonsensy, panie ministrze¹ — otwarcie oznajmił Retief. — Oni mają za dużo zdrowego rozsądku, na coś takiego. Nie są aż tak bardzo zanurzeni w tradycji, aby zniszczyć się własnymi rękoma. To bardzo praktyczni ludzie.

Magnan zabębnił palcami o blat biurka.

¹ Termin „minister” występujący kilkakrotnie w niniejszej mikropowieści, używany jest w sensie określenia rangi w personelu dyplomatycznym, radcy ministra, ulokowanego szczebel niżej od ambasadora (przyp. tłum.).

— Jest pewien czynnik, o którym jeszcze nie wspomniałem — W ciągu ostatnich sześciu miesięcy, mieliśmy do czynienia z czymś, co praktycznie jest równoważne blokadzie wiadomości z Northroyal.

Retief parsknął.

— Jakich to wiadomości?

Magnan cieszył się chwilą jego niepewności.

— Turyści mają duże kłopoty z udaniem się na Northroyal — wyjaśnił.

— Fragonard, stolica, jest całkowicie zamknięta dla przybyszy z zewnątrz. Jednak udało nam się wprowadzić tam agenta. — Odwrócił się, patrząc prosto na Retiefa. — Zdaje się — mówił dalej, — że pojawił się prawowity cesarz.

Retief zmarszczył brwi.

— Słucham? — rzucił ostro.

Magnan cofnął się o krok, wystraszony mocą w głosie Retiefa, a potem zirytował się swoją własną reakcją. W głębi duszy, Magnan był na tyle szczery wobec siebie samego, żeby zdawać sobie sprawę, iż właśnie to było prawdziwym powodem jego intensywnej niechęci do starszego agenta. Instynktowny pierwotny lęk przed siłą fizyczną. Nie, żeby Retief kiedykolwiek kogoś zaatakował, ale roztaczał wokół siebie tak władczą aurę, że Magnan czuł się niepewnie.

— Cesarz — powtórzył Magnan. — Tradycyjne opowieści głoszą, że zgubił się po drodze na Northroyal. Zgodnie z legendą, wyslizgnął się z rąk Concordiatu, w celu zebrania nowych sił do kontrofensywy mającej odeprzeć najeźdźców, i tego rodzaju rzeczy.

— Concordiat w ciągu jednego wieku zawałił się pod swoim własnym ciężarem — zaoponował Retief. — Nie ma więc najeźdźcy do odparcia. Northroyal jest wolny i niepodległy, jak każda inna planeta.

— Oczywiście, oczywiście — powiedział Magnan. — Ale, Retief, nie bierzesz pod uwagę emocjonalnego punktu widzenia. Niepodległość, to całkiem miła rzecz, ale co z marzeniami o imperium, minionej chwale, przeznaczeniu, i tak dalej.

— I co z tym wszystkim?

— O tym słyszeli wszyscy nasi agenci, to krąży wszędzie. Paski programów informacyjnych są pełne takich rzeczy. Video to rozdmuchuje, wszyscy o tym dyskutują. Cesarz, który powrócił, wydaje się być dobrym propagandystą, następnym krokiem będzie mobilizacja na pełną skalę. A my nie jesteśmy przygotowani, aby temu zaradzić.

— Jakie więc są moje zadania w związku z tym wszystkim?

— Twoje rozkazy brzmią, cytuję tutaj, przedostać się do Fragonard i zastosować tam wszelkie środki, jakie będą potrzebne, do zmiany obecnego trendu w nastrojach mieszkańców i porzucenia przez nich tych ekspansjonistycznych sentymentów. — Magnan przesunął na drugą stronę biurka dokument, aby Retief mógł go przeczytać.

Rozkazy były krótkie i nie marnowano w nich czasu na piękne słówka na temat nieistotnych szczegółów. Jako funkcjonariusz korpusu w randze

Doradcy Retief cieszył się znaczną swobodą i okazałym zakresem władzy – ponosząc, oczywiście, odpowiednią do tego odpowiedzialność, w przypadku niepowodzenia. Retief zastanawiał się, dlaczego to zadanie spadło właśnie na niego, spośród tysięcy agentów Korpusu, rozsianych po całej Galaktyce. Dlaczego powierzono jednemu człowiekowi przypadek, który jak się zdawało, wymagać będzie pełnej misji?

— Panie ministrze, to wygląda na całkiem niezłe przedsięwzięcie, jak dla jednego agenta — zasugerował Retief.

— No cóż, oczywiście, jeśli nie czujesz się na siłach, żeby się nim zająć... — Twarz Magnana była śmiertelnie poważna.

Retief popatrzył na niego, lekko się uśmiechając. Taktyka Magnana była dosyć oczywista.

To było jedno z tych paskudnych zadań, które łatwo mogły skończyć się raportami określającymi je jako rutynowe, jeśli wszystko poszło dobrze, ale nawet najmniejsza pomyłka, mogła oznaczać całkowitą porażkę, i to porażkę oznaczającą wojnę, zaś agent, któremu by się ona przydarzyła, byłby w Korpusie skończony.

W tym spisku tkwiło również pewne zagrożenie dla Magnana. Odium porażki mogłoby spaść również i na niego. Prawdopodobnie miał plany uniknięcia katastrofy, kiedy Retief już się podda. Był zbyt sprytny, żeby dać się złapać tak na otwartej przestrzeni. I, jeśli już o tym mówimy, był też zbyt dobrym agentem na to, aby sytuacja wymknęła mu się z rąk.

Nie, to była tylko doskonała okazja do tego, by Retief sam się zdyskredytował, z niewielkim ryzykiem osiągnięcia przez niego znacznych korzyści, nawet w przypadku bardzo odległego sukcesu.

Retief mógłby, oczywiście, odmówić przyjęcia tego przydziału, ale to byłby koniec jego kariery. Nigdy nie uzyskałby awansu na pozycję ministra, a ograniczenia związane z wiekiem, za rok, dwa, wymusiłyby jego przejście na emeryturę. Oznaczałoby to więc łatwe zwycięstwo Magnana.

Retief lubił swoją pracę funkcjonariusza-agenta Korpusu Dyplomatycznego, tej starożytnej ponadnarodowej organizacji, której celem było zapobieganie wojnom. Podjął decyzję zaangażowaniu się w nią już dawno temu i nauczył się akceptować swoje życie takim, jakie było, ze wszystkimi jego niedoskonałościami. Oczywiście, można by narzekać na tego rodzaju drobne intrygi, tyranię przełożonych, pewne nierówności. Były one jednak po prostu częścią gry, kolejnym wyzwaniem, któremu trzeba było stawić czoła i dać sobie z nim radę. Pokonywanie przeszkód, było specjalnością Jame Retiefa. Wiele z tych przeszkód, miało charakter otwarty, znane problemy nieodłącznie związane z każdym trudnym przydziałem. Inne skrywały się pod osłoną mgły raportów osobowych i oceniających i obie te grupy były równie istotne. Trzeba było wykonywać robotę w pracy polowej, a potem umieć znaleźć najlepszą drogę przez labirynt polityki korpusu. Ale jeżeli ktoś nie zna się na swojej pracy – którejkolwiek jej części – to lepiej niech sobie znajdzie jakiś inny zawód.

Oczywiście, przyjął zadanie, trzymając Magnana przez kilka minut w niepewności, a potem na dwa miesiące zakopał się w badaniach, zbierając każdy strzęp informacji, bezpośredniej i pośredniej, jaki udało mu się

znaleźć w ogromnym zbiorze danych Korpusu. Wkrótce stwierdził, że zadanie go wciągnęło, postawione mu wyzwanie coraz bardziej go emocjonowało. Kiedy odkrywał ukryte karty historii skazanych na wygnanie Kawalerów, płonął całym spektrum uczuć, od smutku do wściekłości.

W końcu opracował plan, zebrał potężny wybór starożytnych dokumentów i interesujących obiektów; zerwany złoty łańcuch, niewielki klucz i małe, srebrne pudełko. I tak znalazł się tutaj, w samym środku wielkiego zamętu Grand Corrida.

W tym miejscu wszystko, co się działo na drogach otaczających i wychodzących z Pola Szmaragdowej Korony – samej areny – poświęcone było obsłudze i zaopatrzeniu tysięcy współzawodników Pierwszego Dnia Turnieju Lilii, oraz goszczeniu i fetowaniu malejącej liczby zwycięzców, którzy pozostawali w dniach następnych. Można było tu znaleźć niewielkie jadłodajnie, tawerny, zajazdy; wszystkie świadomie antyczne w stylu, zbudowane na wzór swoich odpowiedników porzuconych dawno temu, na odległej Lilii.

— Kogo tu mamy, Tatusiek, rycerz pierwszej klasy — zawołał jakiś niski, rudowłosy człowiek.

— Podwój i zaoszczędź swoje pieniądze — krzyknął i inny, niski i ciemny. — Kontrakty na Pierwszy Dzień...

Kiedy właściciele budek zwęszyli nowego klienta, krzyki zaczęły dobiegać ze wszystkich stron, podobnej do alei ulicy. Retief ignorował ich, zmierzając w kierunku wznoszących się wysoko murów areny. Dalej, z przodu, przed swoją budką stał smukły młodzieniec, ze złożonymi rękoma, spoglądając w stronę zbliżającej się do niego postaci na czarnym koniu. Pochylił się do przodu, uważnie obserwując Retiefa, a potem wyprostował, odwrócił się i chwycił stojącą z tyłu wysoką, wąską tarczę. Uniósł tarczę nad głowę i kiedy Retief znalazł się tuż przed nim, zawołał:

— Panie oficerze!

Retief ściągnął wodze i popatrzył w dół na stojącego młodzieńca.

— Melduję się na rozkaz, sir! — powiedział młody człowiek. Stał wyprostowany i patrzył Retiefowi prosto w oczy. Retief odpowiedział spojrzeniem. Koń zatupał i rzucił łbem.

— Jak się nazywasz, chłopcze? — spytał Retief.

— Fitzraven, sir!

— Czy znasz Kodeks?

— Znam Kodeks, sir.

Retief wpatrywał się w niego, studiując jego twarz, starannie skrojony uniform, w tradycyjnej Cesarskiej Zieleni, starą, ale dobrze nasmarowaną skórę pasa i butów.

— Opuść swoją tarczę, Fitzraven — polecił. — Jesteś przyjęty. — Ześlizgnął się z konia. — Po pierwsze, znajdź kogoś, kto zajmie się moim koniem. Nazywa się Danger-by-Night. Potem, chciałbym abyś znalazł gospodę dla mnie.

— Koniem sam się zajmę, panie Dowódco — odparł Fitzraven. — Zaś Pan znajdzie dobre miejsce do spania pod szyldem Phoenix-in-Dexter-

Chief. Kwatery są przygotowane dla mojego klienta. — Młody giermek chwycił za uzdę, wskazując na zajazd, położony kilka wejść dalej.

Dwie godziny później, Retief wrócił do budki. Trzydziestodwuuncjowy stek i butla Beaujolais Nouveau zaspokoila jego monumentalny apetyt, rozbudzony długą drogą z portu kosmicznego, położonego na północ od Fragonard. Prosty proporzec, który przywiózł w torbie przy siodle, trzepotał teraz na drażku nad budką. Przeszedł przez wąskie pomieszczenie budki na znajdujące się z tyłu podwórze i stanął w drzwiach, obserwując jak Fitzraven czesze zakurzoną sierść kościstego czarnego konia. Siodło i uprząż leżały na ciężkim stole, przygotowane do czyszczenia. W boksie, w którym stał koń, była czysta słoma, a pusty kosz po ziarnie i wiadro na wodę, wskazywały, że zwierzę zostało dobrze nakarmione i napojone.

Retief skinął głową giermkowi i ruszył przez podwórze, spoglądając w górę, na ciemnoniebieskie wczesnowieczorne niebo, ponad nieregularną linią dachów i kominów. Obrzucił również wzrokiem innych giermków oraz trzymane tu wierzchowce różnej maści, nasłuchując zgiełku rozmów i stukotu naczyń z kuchni zajazdu. Fitzraven skończył już swoją robotę i szedł w stronę swojego nowego pracodawcy.

— Czy pan dowódca chciałaby popróbować nocnego życia w czasie Grand Corrida?

— Nie dzisiejszego wieczora — odparł Retief. — Chodźmy do mojej kwatery. Chciałbym zobaczyć, czego mogę się tam spodziewać.

Pokój Retiefa, położony na czwartym piętrze zajazdu, tuż pod krokwiami dachu, był niewielki, ale odpowiedni, z obszerną szafą i szerokim łóżkiem.

Retief rozejrzał się po nim.

— Kto ci pozwolił otwierać moje torby przy siodle?

Fitzraven lekko się zrumienił.

— Myślałem, że pan dowódca życzy sobie, aby je rozpakować — odparł sztywno.

— Przyglądałem się innym młodzieńcom pracującym przy koniach — powiedział Retief. — Byłeś jedynym spośród nich, który odpowiednio zaopiekował się zwierzęciem. Skąd ta specjalna jakość obsługi?

— Wyszkolił mnie mój ojciec — wyjaśnił Fitzraven. — Służę jedynie prawdziwym rycerzom i wykonuję swoje obowiązki w sposób honorowy. Jeśli pan dowódca jest nieusatysfakcjonowany...

— Skąd wiesz, że jestem prawdziwym rycerzem?

— Pan dowódca ma na sobie mundur i uzbrojenie jednej z najstarszych Jednostek Liniowych Gwardii Cesarskiej, Żelaznych Smoków — odparł Fitzraven. — I pan dowódca przyjechał na wierzchowcu bojowym, czystej krwi.

— Skąd wiesz, że nie ukradłem tego wszystkiego?

Fitzraven nagle wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Te rzeczy zbyt dobrze pasują na pana dowódcę.

Retief także się uśmiechnął.

— W porządku, synu — stwierdził. — A teraz wprowadź mnie w warunki Pierwszego Dnia. Nie chciałbym niczego stracić. I możemy sobie darować tego dowódcę.

Przez godzinę Fitzraven omawiał bieg wydarzeń jaki będzie obowiązywał w trakcie zawodów eliminacyjnych Pierwszego Dnia Turnieju Lilii, strategię jakie powinien przyjąć mądry kandydat, aby oszczędnie gospodarować swoimi siłami, pułapki, w które można wpaść, jeśli nie będzie się uważać.

Turniej był kulminacyjnym momentem całego roku mniejszych zawodów, prowadzonych na całym łańcuchu rozrzuconych wzdłuż równika zamieszkałych wysp. Northroyalanie zastąpili różnymi formami walki zbrojnej, dyscypliny sportowe uprawiane na większości planet; niewątpliwie, była to kompensacja za utracone imperium, prymitywne nawiązanie do wcześniejszych, bardziej chwalebnych czasów.

Z tysięcy współzawodników, którzy wejdą na arenę Pierwszego Dnia, mniej niż jeden na dziesięciu miał przejść dalej i aby stawić czoła wyzwaniom Drugiego Dnia. Retief wiedział, że konkurencje Pierwszego Dnia, oczywiście, nie niosły tak śmiertelnych skutków, jak te, które pojawią się w dalszym ciągu trzydniowego turnieju. W trakcie wydarzeń dnia otwarcia, powinno pojawić się zaledwie kilka poważnych obrażeń, a i te będą w dużej mierze spowodowane nieuwagą, albo brakiem przygotowania u części współzawodników.

Nie było żadnych wymagań na wejściu, jak stwierdził Fitzraven, poza wykazaniem się minimum wieku i odpowiednim statusem w Cesarstwie. Nie wszyscy współzawodnicy byli miejscowi, z Northroyal; wielu z nich przybyło z dalekich planet, potomkowie rozproszonych dawno temu obywateli zmiążdżonego Cesarstwa Lilii. Ale wszyscy współzawodniczyli o te same nagrody, status między cesarską arystokracją, honory Pola Szmaragdowej Korony, Cesarskie nadania ziemi i bogactwo dla tych, którzy odniosą sukces.

— Stanie pan do walk Pierwszego Dnia, sir — spytał Fitzraven, — Czy ma Pan uprawnienia do udziału w Drugim lub Trzecim Dniu?

— Ani to, ani to — odparł Retief. — Siądziemy sobie z boku i popatrzymy.

Fitzraven wyglądał na zaskoczonego. Jakoś nie przyszło mu do głowy, że starszy mężczyzna może nie być kandydatem do walki. A było już za późno, aby zarezerwować miejsca...

— Jak... — po chwili przerwy zaczął mówić Fitzraven.

— Spokojnie — przerwał mu Retief. — Znajdziemy sobie jakieś miejsce do siedzenia.

Fitzraven zamilkł, przekrzywiając głowę w jedną stronę i nasłuchując. Podniesione głosy, przytłumione przez ściany, odgłos ciężkich kroków.

— Coś się dzieje — powiedział Fitzraven. — To policja — popatrzył na Retiefa.

— Wcale bym się nie zdziwił — przyznał Retief, — gdyby to mnie szukali. Chodźmy i sprawdźmy.

— Nie musimy się z nimi spotykać — odparł młodzieniec. — Jest tu inne wyjście...

— Zapomnij o tym — powstrzymał go Retief. — Tak teraz, jak i na przyszłość. — Mrugnął do Fitzravena i odwrócił się w stronę drzwi.

Retief wyszedł z windy, wkraczając do zatłoczonego holu. Fitzraven podążał tuż za nim. Kilku ludzi w ciemnoniebieskich tunikach i wysokich czapkach, chodziło pomiędzy gośćmi, wpatrując się im w twarze. Koło drzwi Retief zauważył podporucznika o ściśniętych ustach, którego pognębił przy bramie. Tamten zauważył go w tym samym momencie i zaczął szarpać za rękaw najbliższego policjanta, wskazując na Retiefa.

Policjant opuścił rękę na pas i natychmiast inni policjanci odwrócili się i skierowali swój wzrok na Retiefa. Zgodnie ruszyli w jego stronę. Retief stał i czekał.

Jeden z policjantów ustawił się przed Retielem, mierząc go wzrokiem od stóp do głów.

— Papiery proszę! — rzucił ostro.

Retief się uśmiechnął swobodnie.

— Jestem parem Lilii i oficerem liniowym sił Cesarskich — oznajmił. — Jakim prawem domaga się pan ode mnie okazania papierów, panie kapitanie?

Policjant uniósł brwi.

— Powiedzmy, że jesteś oskarżony o nieuprawnione wtargnięcie na chroniony obszar Grand Corrida oraz o podawanie się za Cesarskiego oficera — powiedział. — Chyba nie spodziewałeś się, że ujdzie ci to na sucho, co dziadku? — Mężczyzna uśmiechnął się ironicznie.

— Na podstawie przepisów Kodeksu — odparł Retief, — status para nie może być kwestionowany, ani nie wolno przeszkadzać mu w jego działaniach, chyba że posiada się Nakaz Cesarski. Proszę okazać mi taki, panie kapitanie. I sugerowałbym, aby przyjął pan bardziej uprzejmy ton, kiedy zwraca się pan do wyższego rangą oficera. — Głos Retiefa twardniał coraz bardziej, by chlasnąć jak biczem ostatnimi słowami.

Policjant zeszywniał, spoglądając groźnie. Jego dłoń opadła na wiszącą u pasa pałkę policyjną.

— Koniec tych beczelności, starcze! — warknął. — Dokumenty! Natychmiast!

Dłoń Retiefa wystrzeliła, chwytając rękę funkcjonariusza ponad pałką.

— Unieś tylko tę pałkę — oświadczył spokojnie, — a, zapewniam cię, wybiję ci nią mózg ze łba. — Uśmiechnął się łagodnie, prosto w coraz bardziej wybałuszające się oczy kapitana. Policjant był silnym mężczyzną. Rzucił na szalę każdą odrobinę swojej siły, aby unieść rękę do góry i wyrwać ją z uścisku starszego mężczyzny. Cały tłum klientów, funkcjonariuszy policji, stał w milczeniu, niepewny tego, co się dzieje.

Retief nie ustępował, kapitan natężał się coraz bardziej, robiąc się czerwony na twarzy. Ręka starszego mężczyzny była jak stalowa obręcz.

— Widzę, że zaczyna pan używać głowy, panie kapitanie. — powiedział Retief. — Pańska decyzja, aby nie używać siły przeciwko parowi Cesarstwa, była inteligentnym posunięciem.

Gliniarz w końcu zrozumiał. Właśnie oferowano mu możliwość ocalenia odrobiny godności. Z wolna się odprężył.

— Bardzo dobrze, ehmm, sir — oświadczył sztywno. — Przyjmuję więc, że będzie pan łaskaw w prawidłowy sposób potwierdzić swoją tożsamość, stawiając się na uprzejme zaproszenie, jutro rano, w biurze komendanta.

Retief zwolnił swój uchwyt i oficer skinieniem skierował swoich ludzi na dwór, popychając przed sobą skarżącego się podporucznika. Fitzraven pochwycił spojrzenie Retiefa i szeroko się uśmiechnął.

— Pusta duma jest ostrzem bez rękojeści — rzekł sentencjonalnie. — Człowiek mniej pyszny, wezwałby pomoc.

Retief zwrócił się do barmana.

— Kolejka dla wszystkich — zawołał. Obwieszczenie to przyjęte zostało szczęśliwym wrzaskiem. Wszystkich ucieszyło upokorzenie policji.

— Gliniarze nie są chyba tutaj zbyt popularni — stwierdził starszy mężczyzna.

Fitzraven parsknął w odpowiedzi:

— Kiedy tylko praworządny obywatel zaparkuje na pięć minut w niedozwolonym miejscu, natychmiast kręcą się wokół niego, jak muchy wokół padliny, ale nich no tylko twój samochód zostanie skradziony przez jakichś podłych zbirów — żadnego z nich nie ma w okolicy.

— To brzmi bardzo znajomo — przyznał Retief. Wychylił szklaneczkę wódki i spojrzał na Fitzravena.

— Jutro — powiedział, będzie wielki dzień.

Wysoki, jasnowłosy, młody człowiek, stojący w pobliżu drzwi, rzucił za ni zgorzkniałe spojrzenie.

— Dobrze, starcze — wymamrotał pod nosem. — Wtedy się spotkamy.

Hałas tłumu dolatywał do uszu Retiefa, przez masywną konstrukcję górującego nad nim amfiteatru, jako stłumiony łoskot. Pełen ludzi pokój asystenta Mistrza Igrzysk, oświetlany był tylko przez przyćmione światło, wpadające do niego z niskiego korytarza.

— Jeśli zna pan obowiązujący Statut — powiedział Retief, — pewnie pan sobie przypomina, że dowódcy liniowi cieszą się prawem do obserwowania postępu igrzysk, z łoża oficjalnej. Domagam się tego przywileju.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparł niecierpliwie trupioblady asystent. — Musi pan otrzymać od Mistrza Igrzysk polecenie dla mnie, zanim będę mógł pana wysłuchać. — Odwrócił się w stronę innego fagasa i otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Silna dłoń chwyciła go za ramię i dosłownie uniosła go z fotela. Usta mężczyzny pozostały otwarte, na skutek szoku.

Retief przytrzymał wstrząśniętego człowieka w odległości ręki, a potem przysunął go bliżej. Jego oczy płonęły gniewem prosto w szeroko rozwarte oczy urzędas. Twarz pobielała mu ze wściekłości.

— Mały człowieczku — oznajmił dziwnym, ochrypłym głosem. — Idę teraz, wraz moim giermkim, zająć swoje miejsce w łoży oficjalnej. Dobrze przeczytaj obowiązujący cię Statut, zanim spróbujesz mi przeszkodzić – a także Świętą Księgę swojej wiary. — Opuścił człowieka z hukiem, przyglądając się jak ześlizguje się pod biurko. Nikt nie odezwał się słowem. Nawet Fitzraven wyglądał blado. Energia wściekłości starszego mężczyzny, była jak śmiertelne promieniowanie iskrzące się w pomieszczeniu.

Kidy Retief ruszył korytarzem, giermek udał się za nim. Odetchnął głęboko, ocierając czoło. Ten, z którym pracował tego roku, był naprawdę człowiekiem kimś niepospolitym!

Retief zwolnił i odwrócił się do tyłu, żeby poczekać na Fitzravena. Uśmiechnął się żałośnie.

— Przejechałem się po tym starym capie — stwierdził. — Ale oficjalny bełkot działa na mnie jak żądło szerszenia.

Wyłonili się z mroku korytarza, wchodząc do dobrze usytuowanej łoży, na najlepszych miejscach w pierwszym rzędzie. Retief popatrzył na biały blask i skłębiony kurz areny, szeregi tysięcy twarzy, ciągnące się wysoko w górę, i najbledsze z bladoniebieskich niebo, na którym unosiła się tylko jedna niewielka biała chmurka. Gladiatorzy stali zebrani w niewielkie grupy, czekając. Co za dziwny widok, pomyślał sobie Retief. Sceneria jakby z odległej przeszłości, ale rzeczywista, kompletna, nawet z zapachem strachu i podniecenia, z gorącym wiatrem, który wichrzył mu włosy, ryczącym, zwierzęcym wrzaskiem wydawanym przez tysiące gardeł jak gdyby jakiejś wielogłowej hydry. Zastanawiał się, co naprawdę chcieli oni zobaczyć tutaj, dzisiejszego dnia. Tryumf umiejętności i odwagi, potwierdzenie starodawnych cnót, spektakl w którym ludzie kładą swoje losy na stole hazardowym i grają o zdobycie nagrody nazywanej chwałą – czy też chcieli po prostu krwi i śmierci?

To dziwne, że ten archaiczny rytuał krwawych turniejów, łączący cechy cyrku Cezarów, szranków średniowiecznej terrańskiej Europy, Igrzysk Olimpijskich, rodeo i sześciodniowego wyścigu kolarskiego, mógł zająć tak istotne miejsce w nowoczesnej cywilizacji, pomyślał Retief. W swojej obecnej formie, była to bardzo wypaczona wersja tradycyjnego Turnieju Lili, przez którą to próbę, musiał przejść każdy szlachcic dawnego Cesarstwa. Był to środek surowego samouświadamienia, który zapewniał i gwarantował każdemu z ludzi, raz do roku, możliwość sprawdzenia siebie samego przeciwko tym, których społeczeństwo zaliczało do swoich najlepszych. Poprzez jego rygor, najpokorniejszy chłopiec ze wsi mógł zostać wyniesiony stopniowo, na najwyższe poziomy społeczeństwa Cesarstwa. Ponieważ oryginalne Igrzyska testowały każdy aspekt człowieka, począwszy od samej jego odwagi, do finezji w strategii, od głębin jego wytrwałości pod naciskiem śmierci, do bystrości jego intelektu, od umiławania prawdy, do sprytu w uchodzeniu z trudnych brutalnych pułapek.

W ciągu dwu wieków, jakie minęły od upadku Cesarstwa, Igrzyska stopniowo stały się widowiskiem dla turystów, wolną amerykanką, celebracją – wzbogaconą dodatkowo o smaczek niebezpieczeństwa, dla tych, którzy nie chcieli się wycofać i bogatymi nagrodami dla paru zdeterminowanych finalistów. Do Statutu Cesarskiego nadal odwoływano się na otwarciu Igrzysk, starodawny Kodeks wynoszony pod niebiosa, ale było bardzo niewielu, którzy wiedzieli i dla których było to ważne, co Statut i Kodeks rzeczywiście głosiły, jakie warunki były w nich określone. Powszechna wiedza, pozostawiała takie szczegóły zarządzającym turniejem. A w ostatnich miesiącach, kiedy poszukiwanie turystów nagle, w niewytłumaczalny sposób uleciało, wydawało się, że Igrzyska zostały tak wypaczone, by osiągnąć cel nawet jeszcze mniej godny podziwu.

No cóż, pomyślał Retief, zanim skończę swoją robotę, być może uda mi się przywrócić nieco piękna tej grze.

Za wysoką bramą z brązu buchnęły dźwięki rogu. Potem z ciężkim szcękaniem wrota otworzyły się na oścież i wyszedł z niej nerwowo urzędnik, rozglądający się drżącym spojrzeniem po pierwszym rzędzie dzisiejszych współzawodników.

Prosto przez środek areny ruszyła kolumna, dołączyła do innych kolumn, by uformować kwadrat przed lożą Cesarską. Wysoko w górze, Retief dojrzał łopocące sztandary, rozbłysk koloru mundurów uformowanej w szereg gwardii honorowej. Sam Cesarz pojawił się tu na krótko, aby otworzyć Turniej.

Z drugiej strony areny znowu doleciały dźwięki rogów. Retief rozpoznał Wezwanie do Broni i Salut Cesarski. Potem wzmocniony głos rozpoczął rytualne odczytywanie Warunków Dnia.

— ... dzięki łaskawemu zezwoleniu Jego Cesarskiej Mości, turniej toczyć się będzie zgodnie z konwencją Fragonard i nie było odnośnie tego żadnych sprzeciwów... — głos buczał dalej.

Wreszcie się to skończyło i sędziowie ustawili się na swoich miejscach. Retief popatrzył na Fitzravena.

— Zaraz zaczniesz się bardziej emocjonująca część.

Sędziom wręczono grube bicz, pancerne rękawice i osłony na twarz. Pierwsza konkurencja, musiała być dosyć niezwykła.

Retief przyglądał się jak żółtowołosy weteran, stojący tuż pod lożą, nałożył ciężką, skórzaną rękawicę, która okrywała i chroniła całą jego lewą dłoń oraz przedramię, a następnie odebrał od sędziego piętnastostopowy bicz, ze splecionych rzemieni z wołowej skóry. Machnął nim dla złapania wyczucia, rozkładając go całą długością na ziemi i unosząc, wydawałoby się pozbawionym wysiłku skrętem nadgarstka. Wytarty koniuszek, trzasnął jak wystrzał z pistoletu. Bicz był ciężki i niezgrabny. Skóra nie miała w sobie życia.

Obecnie, loża zaczęła się wypełniać, ale nikt nie zwracał uwagi na Retiefa i jego giermka. Hałaśliwy tłum wybuchał śmiechem i gwarem.

Ludzie pokrzykiwali do znajomych na innych miejscach oraz na dole, na arenie.

Gdzieś w pobliżu władczo zahuczał róg i ubrani na biało sędziowie pośpieszyli między wymachujących rękoma współzawodników, dzieląc ich na pięcioosobowe grupki. Retief obserwował jasnowłosego młodzieńca, wysokiego mężczyznę ze zmarszczonym czołem i trzech innych, niczym nie wyróżniających się z wyglądu.

Fitzraven nachylił się do niego.

— Najmądrzejsi będą się trzymać z tyłu i pozwolą aby inni eliminowali się nawzajem, — powiedział przyciszonym głosem. — tak by ich pierwsze walki były już o awans.

Retief skinął głową. Zadaniem walczących mężczyzn, było zająć jak najdalej w turnieju, każdy fortel był tu istotny. Zauważył, że jasnowłosy człowiek niepostrzeżenie odsuwa się do tyłu, kiedy sędzia pośpiesznie dzielił na pary pozostałą czwórkę. Arbiter zawołał potem do niego, żeby stanął na boku i poprowadził tamtych do zaznaczonych na zakurzonej darni kół. Nagle zabrzmiał gwizdek i unoszący się nad areną ryk zmienił ton. Tłumy widzów nachyliły się do przodu, kiedy setki rozgorączkowanych gladiatorów zaczęło z szaleńczym wysiłkiem okładać się biczami. Trzaskały baty, wyli ludzie, stopy szurały po ziemi; gdzieniegdzie tłum wyśmiewał jakiegoś niezdarnego człowieka, rozciągniętego na arenie i skomlącego z bólu; w innym miejscu widzowie sapali z podniecenia, widząc jak jakichś dwóch gruboskórnych brutali chłostało się nawzajem, w totalnym ataku.

Retief zobaczył, jak koniuszek bicia jednego z mężczyzn owinał się wokół kostek jego przeciwnika, wrywając mu nagle stopy spod ciała. Inna para okrążała się ostrożnie, niepewnie zwijając swoje bicze. Jeden z nich niechcący, cofając się, przekroczył swoją linię i mimo protestów, wyprowadzono go z areny. W tym pojedynku został zadany ani jeden cios.

Liczba obecnych w szrankach w ciągu kilku minut zmniejszyła się o połowę. Jedynie kilka najbardziej zjadłych par, krwawiąc z licznych rozcięć skóry, ciągle toczyła swoje walki. Po kolejnej minucie, rozległ się gwizdek, ponieważ ostatnia z nich została rozstrzygnięta.

Dwóch zwycięzców ze stojącej pod nimi grupy, zostało teraz połączonych w parę i ponownie zabrzmiał gwizdek. Wysoki człowiek, ciągle marszczący czoło, powalił swojego przeciwnika na ziemię jednym ostrym uderzeniem bicia. Retief przyjrzał mu się dokładniej. Tego człowieka warto mieć na oku.

Kolejne gwizdki i arena niemal opustoszała. Z początkowej piątki, zostało tylko dwóch ludzi; jasnowłosy przesunął się do koła, spoglądając na znajdującego się w nim przeciwnika. Retief rozpoznał w nim nagle człowieka, który rzucił mu wyzwanie na ulicy, nad rozsypanymi owocami. A więc przyszedł za nim za bramę.

Rozległ się ostatni gwizdek i na widowni zapadła cisza. W tej chwili słychać było wyraźnie każde szurnięcie stopy, sapiący oddech zmęczonych wojowników, skrzypienie i plaskanie skóry.

Jasnowłosy młodzieniec, wyrzucił lekko swój bicz, zauważył że przeciwnik łatwo się uchylił i sam zrobił kroczek w bok, aby uniknąć ostrego przeciwuderzenia. Wykonał zwód, odwrócił kierunek swojego uderzenia i, pomimo uniku przeciwnika, trafił go wysoko na pierś. Natychmiast pojawiła się szrama. Zauważył, że szybka jak błyskawica riposta już jest w powietrzu i odskoczył do tyłu. Ledwie zdążył unieść rękawicę. Bicz okręcił się wokół rękawicy i młody człowiek chwycił za skórę, ostro ją pociągając. Przeciwnik potknął się i poleciał do przodu. Jasnowłosy trafił biczem przez plecy rywala, zadając potężny cios, który trzasnął głośno i oderwał znaczny fragment porwanej koszuli przeciwnika, wyrzucając go w powietrze. W jakiś sposób, jednak, mężczyzna zdołał utrzymać się na nogach i wycofywał się, po kręgu. Rywal podążał za nim, zadając ze świstem jedno uderzenie biczem za drugim, próbując zmusić go do wycofania się za linię. Zranił go poważnie uderzeniem przez plecy i teraz próbował szybko skończyć walkę.

Uchylił się łatwo przed powolnym machnięciem, a potem Retief zobaczył, jak na jego twarzy eksploduje ból, kiedy trafiło go podstępne uderzenie. Jasnowłosy młodzieniec zatoczył się w pijackim kręgu, niemal zwalając się z nóg.

Przez koło świsnęło kolejne uderzenie wroga, zbyt wolne, by trafić po raz kolejny; młodzieniec szybko odzyskał równowagę, prześlizgnął się pod biczem i zadał cios w brzuch przeciwnika. Wołowa skóra uderzyła o człowieka, wyrzuciła w powietrze resztki jego koszuli, trzepoczące w rozbryzgu krwi. Z tytanicznym wysiłkiem ramienia i nadgarstka, jasnowłosy uderzył na odlew, kierując bicz ze świstem w to samo miejsce. Bat uderzył cmokając i powodując kolejną moką eksplozję. Jasnowłosy uderzył jeszcze raz i jeszcze, aż w końcu jego przeciwnik zatoczył się do tyłu i upadł za linię.

Zwycięzca nagle zemdłał, wpatrując się w leżącego w pyle człowieka, teraz zupełnie bladego. Przegrany przez chwilę lekko drżał, następnie znieruchomiał bezwładny. Pojawiło się mnóstwo krwi, jeszcze więcej. Retief zorientował się z nagłym wstrząsem, że leżący człowiek został wypatroszony. Ten chłopak, pomyślał sobie, walczy, żeby wygrać.

Dwoma kolejnymi wydarzeniami, składającymi się łącznie na próby Pierwszego Dnia, był niczym niewyróżniający się pokaz dwuręcznej wersji starych zapasów Amerykańskich Indian oraz krótka walka szermierczą tępo zakończoną bronią. Przed południem osiemdziesięciu ludzi zakwalifikowało się do Drugiego Dnia i w kilka minut później, Retief oraz Fitzraven znaleźli się już w swoim pokoju, w zajeździe.

— Masz teraz trochę wolnego, a ja muszę odpocząć — powiedział Retief. — Kiedy się obudzę, miej pod ręką coś solidnego do zjedzenia.

I położył się do łóżka.

Pozostawiając swojego pana ciężko oddychającego w głębokim śnie, giermek zszedł po schodach do wspólnej sali, znalazł sobie stolik w głębi, zamówił kufel mocnego ale i usiadł sam, rozmyślając.

W tym roku, spotkał naprawdę dziwnego człowieka. Od razu się zorientował, że to jest nie żaden próżniak z planety ogarniętej wyścigiem szczurów, próbujący się odprężyć, zagłębiając się w fantasy z dawnych lat. Nie wyglądał też na Northroyalanina; tkwiła w nim jakaś surowa siła, wytrawione przez czas piętno władzy, która była czymś obcym na tej miłej, bardzo uporządkowanej, małej planecie. A jednak, nie było najmniejszej wątpliwości, że było w nim więcej z prawdziwego Kavalera, niż w jakimkolwiek urodzonym we Fragonard dworzaninie. Wyglądał jak jakiś pradawny wojowniczy szlachcic z czasów wielkości Cesarstwa. Jakby nie patrzeć, ten starszy mężczyzna był dziwnym człowiekiem i strasznym w swoim gniewie!

Fitzraven zaczął się przysłuchiwać toczonym wokół rozmowom.

— Siedziałem tuż nad tym — mówił właśnie kowal przy następnym stole. — Wypatroszył faceta biczem! To było potworne! Cieszę się, że nie należę do głupców, którym zachciało się odgrywać wojowników. Wyobraź sobie, że ktoś ci wypruł wszystkie bebechy przy pomocy liny z brudnej skóry!

— Igrzyska muszą być teraz ostrzejsze — stwierdził inny. — Siedzieliśmy tu beczynn timer przez dwa stulecia, czekając aż w końcu coś się wydarzy, – coś, co popchnie nas z powrotem na drogę ku potędze i bogactwu...

— Dzięki, ale ja raczej wolałbym nadal sobie spokojnie żyć jako kowal i cieszyć się paroma prostymi przyjemnościami – w tym jak ten facet leżał w pyle areny, z brzuchem rozerwanym na całą szerokość, nie było żadnej chwały, możesz być pewny.

— A będzie jeszcze więcej rozerwanych brzuchów, dających do myślenia, kiedy zbudujemy flotę wojenną dla Grimwolda i Tanii — dodał jeszcze inny.

— Powrócił Cesarz — warknął ten wojowniczy. — Czy będziemy się ociągali, kiedy on stanie na czele?

Kowal wymruczał pod nosem:

— Według mnie, ugina się pod brzemieniem pochodzenia. Ja sam wywodzę swój ród przez trzy linie przodków od starego Pałacu na Lili.

— Tak samo, jak my wszyscy. Tym bardziej powinniśmy wspierać naszego Cesarza.

— Żyje nam się tutaj dobrze; nie mamy sporów z innymi planetami. Dlaczego nie zostawić przeszłości w spokoju?

— Niech Cesarz prowadzi; my będziemy podążać za nim. Jeżeli się z tym nie zgadzasz, zgłoś się w przyszłym roku do turnieju Lili i zajmij wysokie miejsce. Wtedy twoje zdanie będzie szanowane.

— Nie, dziękuję. Lubię kiedy moje wnętrze jest tam, w środku.

Fitzraven pomyślał sobie o Retiefie. Ten stary człowiek powiedział, że dzierży posiadaną rangę swoim własnym prawem, i nie cytował żadnego rodowodu. To było naprawdę dziwne. Cesarz pojawił się zaledwie rok temu, przedstawił Szatę, Pierścień, pieczęć, klejnoty koronne i Cesarską Księżę, która wyszczególniała jego przodków przez pięć pokoleń, poczynając od ostatniego panującego Cesarza Starego Cesarstwa.

W jaki sposób Retief mógł otrzymać pełnomocnictwo dotyczące swoich uprawnień, datowane nie wcześniej niż trzydzieści lat temu? I jeszcze ranga dowódcy liniowego. Fitzraven pamiętał, że to był specjalny stopień, dla wybitnych panów i oficerów, którzy dowiedli swojej wielkości. Nie byli oni przydzielani do żadnej jednostki, ale sami dobierali sobie pole swojej działalności.

Chyba, że Retief był oszustem... ale Fitzravenowi starszy człowiek stanął przed oczyma. Jego wykute jak ze stali rysy, których nie tknął czas, jego żołnierska postawa, fantastyczna siła, bez wątpienia autentyczny ekwipunek. Niezależnie od wyjaśnienia całej tej sprawy, był prawdziwym rycerzem. To mu wystarczało.

Retief obudził się wypoczęty i głodny jak wilk. Wielki krwisty stek i gigantyczny kufel jesiennego ale, stały już przygotowane na stole. Zjadł, zamówił więcej i zjadł ponownie. Potem przeciągnął się, otrząsnął. Nie pozostały nawet ślady wczorajszego zmęczenia. Uświadomił sobie, że nastrój też miał dużo lepszy. Zaczynał robić się za stary na takie wyczerpujące przygody.

— Zaczyna robić się późno — powiedział. — Chodźmy już.

Dotarli do areny i zajęli swoje miejsca w łoży oficjalnej, akurat na czas, by obejrzeć pierwszą konkurencję, ostrożny pokaz z użyciem mieczy.

Po czterech kolejnych konkurencjach i trzech etapach zacieklej, ale dosyć bezbarwnej rywalizacji, na arenie pozostało tylko dwunastu mężczyzn, czekających na kolejną rundę. Wśród nich znajdował się jasnowłosy młodzieniec, którego Retief obserwował, od chwili gdy go rozpoznał. To właśnie on, zastanowił się, był powodem obecności tutaj tego człowieka. Chyba więc dobrze się spisał.

Retief zauważył, że tym razem do pary z jasnowłosym młodzieńcem dobrano krzepkiego wojownika, uzbrojonego w dwuręczny miecz. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, idąc, aby stawić czoła swojemu przeciwnikowi.

To będzie coś nowego, pomyślał agent, obserwując rozwój sytuacji. Ten facet był niebezpieczny. Żółtowlosy wszedł do środka, trzymając broń poziomo na piersiach. Wielki mężczyzna uderzył nagle wielkim mieczem i blondyn odskoczył do tyłu, a potem ciął na odlew w ramię swojego przeciwnika. Zadrasnął go lekko, wykręcając się w tył zaledwie na czas, aby uniknąć zadanego w odpowiedzi ciosu. Ciągłe uśmiechający się mężczyzna kontynuował atak, klinga przecinała powietrze przed nim, kreśląc ze świstem ósemkę. Napierał na swojego przeciwnika, zmuszając go do cofania się, ostrze nie spoczywało nieruchomo, nawet na chwilę.

Nie było już miejsca, jasnowłosy odskoczył na bok, opuszczając czubek miecza na czas, by odbić potężne cięcie. Wycofał się. Nie mógł pozwolić na to, aby sytuacja powtórzyła się ponownie. Wielki mężczyzna był bardzo silny.

Klinga znów się zaczęła poruszać, ale uśmiech na twarzy troszeczkę zbladł. Powinien utrzymywać się na dystans, nieustannie krążyć, pomyślał Retief. Plan wielkiego mężczyzny polega na spychaniu przeciwników do krawędzi, a potem wykończeniu ich, kiedy próbują odejść w bok. Blondyn musi zachowywać odległość między nimi.

Jasnowłosa cofał się, czekając na rozpoczęcie ataku. Odskoczył w prawo, a kiedy przeciwnik zaczął się przesuwac, aby ustawic się przed nim, odskoczył z powrotem w prawo i złapał wielkiego mężczyznę w trakcie ruchu w drugą stronę. Ciął go przez żebra, przez cały czas pozostając w ruchu. Wielki mężczyzna zaryczał, obracając się dookoła i zadając potężne uderzenia w stronę postaci, która uskakiwała na boki, pozostając przez cały czas tuż poza zasięgiem. W pewnej chwili blondyn pociągnął swoim claymorem nisko w półobrocie i uderzył mocno w tył nóg swojego rywala, z odgłosem takim, jakby rzeźnicki tasak rozdzielał żebra.

Wielki mężczyzna upadł na kolana, a następnie przewrócił się, jak marionetka, której przecięto sznurki. Blondyn cofnął się, ponieważ wokół niego zaroilo się od chirurgów, pędzących by zaopiekować się leżącym wojownikiem. Teraz było ich już mnóstwo do dyspozycji. Jak do tej pory poszkodowanych było dwa razy więcej niż normalnie. Ludzie padali również na innych widocznych arenach walki. Ci bojaźliwi, zostali już wyeliminowani. Mężczyźni, którzy ciągle stali na nogach, byli zdeterminowani lub zrozpaczeni. Nie będzie takich, którzy dadzą się wypchnąć.

— Zostało tylko sześciu! — zawołał Fitzraven.

— Jak do tej pory, to był raczej niezwykle turniej — stwierdził Retief.
— Ten młodzieniec z jasnymi włosami, wydaje się grać ostro i forsuje ostre tempo.

— Nigdy jeszcze nie widziałem tak rzeczowego turnieju — powiedział Fitzraven. — Tych słabiej dysponowanych wystraszone, zaś wojownicy zostali wycięci z rekordową szybkością. Jak tak dalej pójdzie, nie zostanie nikogo na Trzeci Dzień.

Na arenie powstało jakieś zamieszanie. Sędziowie i inni oficjele biegali pośpiesznie w tą i z powrotem. W końcu zahuczało obwieszczenie. Drugi dzień został oficjalnie zakończony. Sześciu pozostałych w turnieju miało zostać nagrodzonych certyfikatami Drugiego Dnia i zakwalifikowanych do Trzeciego i Ostatniego Dnia, który miał odbyć się jutro.

Retief i Fitzraven wyszli z łoży, precyzyjnie się przez tłum i wrócili do zajazdu.

— Zobacz, czy Danger-by-Night jest dobrze nakarmiony i oporządkowany — polecił Retief giermkowi. — I sprawdź dokładnie całe moje wyposażenie. Chciałbym jutro wyglądać jak najlepiej, bez wątplenia to mój ostatni tego rodzaju wypad, przynajmniej na pewien czas.

Fitzraven pośpiesznie oddalił się, by zająć się obowiązkami. Retief zaś wjechał na górę do pokoju, aby do późna w nocy zagłębić się w zawartości swojej teczek z dokumentami.

Trzeci dzień przywitał ich szarugą, chłodem i lodowatym wichrem smagającym po całej arenie. Pogoda, jednak, nie zniechęciła widzów. Trybuny były przepełnione i ludzie, którzy nie znaleźli na nich miejsca, stali w przejściach między siedzeniami, przycupnęli na tylnej ścianie korony, tłoczyli się w każdym możliwym miejscu. Proporce powiewające na łożu cesarskiej, wskazywały na obecność monarszego towarzystwa. To był kulminacyjny dzień. Arena, dla kontrastu, była niemal pusta. Dwóch spośród zwycięzców Drugiego Dnia, nie przystąpiło do dzisiejszych konkurencji, widocznie zdecydowawszy, że zdobyli już dostatecznie dużo chwały, jak na jeden rok. Mieli otrzymać przyjemne nagrody i szacowne tytuły, i to im wystarczało.

Ta czwórka, która dzisiaj stanęła na arenie, żeby zaryzykować zwycięstwo lub śmierć, stawiając na swoje umiejętności władania bronią, jest czymś wartym oglądania, pomyślał sobie Retief. Był tam jasnowłosy młody człowiek, ciągle nawet nie zadraśnięty, wielki śniady drab, wysoki barczysty człowiek, w wieku może trzydziestu lat i przysadzisty, krzywonogi mężczyzna o potężnych barkach i długich rękach. Byli tutaj, by wygrać lub zginąć.

Z trybuny oficjalnej Retief i Fitzraven mieli znakomity widok na arenę, na której narysowane zostało duże koło. Siedzący w pobliżu oficjele posyłali im zimne spojrzenia, kiedy wchodzili, ale nikt nie próbował im przeszkadzać. Najwidoczniej zaakceptowali tę sytuację. Być może, pomyślał Retief, faktycznie przeczytali Statut. Miał nadzieję, że przestudiowali go dokładnie. Ułatwiłoby to dalsze sprawy.

Zahuczały obwieszczenia, oficjele dookoła poruszyli się, zagrzmiały fanfary, a Retief siedział zaabsorbowany własnymi myślami. Ta sceneria przypominała mu o zapomnianych już rzeczach, z czasów jego dawno minionej młodości, kiedy kształcił się w sztukach wojennych, długo służąc i terminując u największych mistrzów świata. Zgodnie ze zdaniem jego ojca, nic tak nie trenowało oka, umysłu i ciała, jak szermierka, judo, savate i różne dyscypliny sztuk ofensywy i defensywy.

Porzucił tę bezcenną edukację, kiedy opuścił dom, aby szukać swojego szczęścia w głównym nurcie galaktycznej cywilizacji, ale podczas niejednej okazji bardzo mu się ona przydała. Agent Korpusu nie może sobie pozwolić na stoczenie się w fizyczną bezradność, a Retief utrzymywał swoje umiejętności na najwyższym możliwym poziomie. Kiedy zabrzmiały ponownie rogi, nachylił się do przodu, korygując ustawienia swojej lornetki. Zaledwie kilku ludzi pośród widzów, było lepiej od Retiefa przygotowanych, do oceny dzisiejszych popisów. Interesujące będzie obejrzenie jak mistrzowie będą prezentować się dzisiaj na arenie.

Pierwsza konkurencja miała właśnie się rozpocząć, jasnowłosy wojownik został wybrany do pary z krzywonogim mężczyzną. Obu wydano smukłe miecze i stanęli twarzami do siebie, ze skrzyżowanymi klingami. Zabrzmiał ostatni gwizdek i ostrze uderzyło o ostrze. Przysadzisty mężczyzna szybko pracował na nogach, biegając dookoła po półkolu przed

swoim wyższym przeciwnikiem, z wielką energią sondując jego obronę. Blondyn wycofywał się z wolna, odpierając grad uderzeń lekkimi ruchami swojego miecza. Nagle odskoczył do tyłu, i Retief zauważył czerwoną kropkę wyrastającą na jego udzie. Podobny do mały gość, był bardziej niebezpieczny, niż na to wyglądał.

Teraz blondyn rozpoczął swój atak, odbijając na bok broń przeciwnika i uderzając prosto, na gardło, osiągając tylko tyle, że jego ostrze zostało sparowane w ostatniej chwili. Niski mężczyzna zaczął się cofać, niechętnie oddając pole. Nagle przykucnął w groteskowym przysiadzie i pchnął pod obroną rywala, szukając w desperackiej próbie szybkiego zakończenia walki. To był błąd. Wyższy mężczyzna wykonał piruet w bok i jego ostrze mignęło delikatnie tylko raz. Krzywonogi człowiek ześlizgnął się na ziemię, padając płasko na twarz.

— Co się stało? — zapytał zaskoczony Fitzraven. — Nie widziałem uderzenia, które go przeszyło.

— To było całkiem niezłe — powiedział w zamyśleniu Retief, opuszczając szkła. — Pod piątym żebrem i prosto w serce.

Teraz swoje miejsca zajęli smagły mężczyzna i wysoki barczysty człowiek. Zabrzmiały rogi oraz gwizdki, i obaj zaangażowali się w szaleńczą wymianę ciosów, to jeden, to drugi zmuszając przeciwnika do cofania się, po to by po chwili, samemu z kolei zacząć tracić teren. Tłum ryczał z aprobatą, kiedy obaj okładali się, pchali, parowali i dźgali.

— Nie mogą chyba utrzymywać tego tempa przez wieczność — powiedział Fitzraven. — Będą musieli nieco zwolnić.

— Obaj są dobrzy — odparł Retief. — I mają równe umiejętności.

W tej chwili właśnie śniady mężczyzna odskoczył w tył, przerzucił miecz do lewej ręki, a następnie szybko przeszedł do ataku. Gubiąc swój rytm jego przeciwnik zachwiał się i pozwolił by ostrze zacięło go w pierś, a potem znowu w rękę. Rozpaczliwie zaczął się wycofywać, broniąc się tylko. Śniady mężczyzna podążał za nim, wykorzystując zdobytą przewagę, gwałtownie napierał i w chwilę później Retief zobaczył stopę jasnej stali, wystającą z pleców wysokiego człowieka. Trafiony zrobił dwa kroki i złożył się wpół, wyrывая miecz z dłoni śniadego mężczyzny.

Fala za falą, przez wypełnione trybuny przewaliły się okrzyki. Nigdy jeszcze nie widziano takiego pokazu! To było jak jakaś legendarna walka bohaterów Cesarstwa, wojowników, którzy ponieśli sztandar Lilii przez pół galaktyki.

— Obawiam się, że to już wszystko — stwierdził Fitzraven. — Ci dwaj mogą zdecydować, że teraz podzielą między siebie zwycięstwo w turnieju, albo że będą walczyć o wyłączną chwałę. W całej historii Turnieju na Northroyal, nigdy nie było mniej niż trzech uczestników, dzielących między siebie dzień.

— Wygląda więc na to, że będziemy mieli ten pierwszy raz — zauważył Retief. — Wyraźnie przygotowują się do walki.

W dole, na arenie, masa oficjeli otoczyła ciemnowłosego mężczyznę i blondyna, podczas gdy widownia wychodziła z siebie. Po chwili róg zabrzmiał w wyszukany salut.

— Zgadza się — z podnieceniem powiedział Fitzraven. — To salut bohaterów. Mają zamiar to zrobić.

— Nie wiesz jak się cieszę, słysząc to — odparł Retief.

— Jaką bronią będą walczyć? — zastanawiał się na głos giermek.

— Przypuszczam, że czymś mniej zabójczym niż wąski miecz — odpowiedział mu Retief.

Chwilę później zostało przekazane obwieszczenie. Dwóch mistrzów dnia, rozstrzygnie sprawę między sobą, walcząc gołymi rękoma. To, pomyślał Retief, powinno być warte obejrzenia.

Ponownie zabrzmiały fanfary i gwizdki i obaj mężczyźni ostrożnie ruszyli na siebie. Śniady człowiek machnął ręką w ciosie otwartą dłoń, który plasnął tylko nieszkodliwie na ramieniu jego przeciwnika. Chwilę później jasnowłosy młodzieniec zamarkował kopnięcie, a zamiast tego wyprowadził mocny lewy, na podbródek śniadego mężczyzny, oszłamiając go wyraźnie. Podążył za atakiem, zadając dwa ciosy na żołądek, a potem kolejny na głowę. Ciemny mężczyzna przesunął się do tyłu, nagle po niecelnym uderzeniu, złapał blondyna za nadgarstek, zakręcił się i próbował rzucić swojego przeciwnika. Blondyn wyslizgnął się na bok i zablokował prawym ramieniem głowę śniadego człowieka, chwytając lewą ręką za swój prawy nadgarstek. Ciemny mężczyzna wykręcił się i upadł ciężko na rywala, sięgając po swój własny blok na głowę.

Obaj tarzali się przez kilka chwil w piachu, a potem rozdzielili się i już byli z powrotem na nogach. Ciemny mężczyzna ruszył naprzód i po raz kolejny machnął uderzeniem otwartą ręką, które klasnęło głośno na twarzy blondyna. Retief zdawał sobie sprawę, że był to tylko środek na to, by rozwścieczyć przeciwnika, stępując ostrze jego umiejętności.

Jasnowłosy jednak nie dał się sprowokować; wyprowadzał kolejne ciosy na głowę ciemnego mężczyzny, unikając próby uchwytu. Jasne było, że wolał nie wchodzić w niedźwiedzie uściski swojego rywala. Uważnie boksował, oddając teren, ale zadając ciosy, kiedy tylko nadarzała się sposobność. Śniady człowiek zaciekle podążał za nim, jak się wydawało, nie odczuwając uderzeń. Nagle skoczył, przyjął dwa potężne ciosy, prosto na twarz i zderzył się z blondynem, przewracając go na ziemię. Obydwaj zaczęli przetaczać się po darni, widać było tylko zamazane kłębowisko okładających się rąk i nóg, a kiedy obaj w końcu zastygli w spoczynku, Retief zobaczył, że śniady mężczyzna wywalczył sobie przełom. Klęcząc za swoim przeciwnikiem, trzymał go w mocnym duszeniu. Mięśnie na jego plecach i ramionach, aż się napięły z wysiłku, aby utrzymać w uchwycie silnego rywala.

— No to, koniec — w napięciu oznajmił Fitzraven.

— Być może, nie — odparł Retief. — Nie, jeśli dobrze to rozegra i nie ulegnie panice.

Jasnowłosy z wysiłkiem próbował odepchnąć rękę, zablokowaną na jego gardle, wykręcając się nieskutecznie. Instynkt nakazywał mu zerwać

duszący uchwyt, zrzucić z siebie przytłaczający ciężar. Ale chwyt śniadego mężczyzny był mocny, a pozycja jego ciała nie do naruszenia. Wtedy blondyn nagle przestał się szarpać i dwójka walczących zdawała się zastygnąć na arenie jak dwa kamienne posągi. Na widowni zapadło milczenie, fascynacja.

— Poddaje się — powiedział Fitzraven.

— Nie, patrz — odparł Retief. — Zaczyna w końcu używać głowy.

Ręce jasnowłosego sięgnęły teraz do góry, przemieszczając się ponad głowę przeciwnika w poszukiwaniu chwytu. Ciemny mężczyzna przesunął głowę do przodu, napierając na plecy swojej ofiary i próbując wymknąć się z jego klamry. Wtedy jednak ręce blondyna znalazły oparcie, zamykając się i młodzieniec pochylił się raptownie do przodu, obracając się z potężną energią. Śniady poleciał naprzód, wysoko wyniesiony, stracił chwyt. Kiedy przeciwnik znalazł się nad jego głową, blondyn podniósł się, przesunął w powietrzu swój uchwyt i gdy ciemny mężczyzna upadł ciężko przed nim, w panującej na arenie ciszy, słychać było wyraźnie trzask kręgosłupa. Walka była skończona i jasnowłosy zwycięzca wstał na nogi, pośród ryku aplauzu widowni.

Retief zwrócił się do Fitzravena.

— Na nas już czas, Fitz. Musimy iść — powiedział.

Giermek zerwał się z siedzenia.

— Jak pan sobie życzy, sir, ale ceremonia jest całkiem interesująca...

— Mniejsza z tym, chodźmy. — Retief ruszył do wyjścia, a Fitzraven podążył za nim, zaintrygowany.

Retief zszedł po stopniach do wnętrza trybun i ruszył korytarzem.

— Tędy, sir — zawołał za nim Fitzraven. — To przejście prowadzi na arenę.

— Wiem o tym — odparł Retief. — Właśnie tam zmierzam.

Fitzraven szedł szybko u jego boku. Co ten starzec tym razem znowu wymyślił?

— Sir — powiedział. — Dopóki turniej nie zostanie zamknięty, na arenę nie wolno wchodzić nikomu poza walczącymi i urzędnikami. Wiem też, że tego prawa nie da się ominąć.

— To prawda, Fitz — przyznał Retief. — Będziesz musiał pozostać w aneksie dla giermków.

— Ale pan, sir — wysapał Fitzraven...

— Spokojnie, wszystko pod kontrolą. — przerwał mu Retief. — Mam zamiar wyzwać dzisiejszego zwycięzcę.

W loży Cesarskiej, Cesarz Rolan nachylił się do przodu, kierując swoją lornetkę na grupę ludzi w bramce dla urzędników. Wydawało się, że ktoś wywołał tam jakieś zamieszanie. Był to przykład cholernej bezczelności, właśnie w chwili prezentacji Cesarzowi zwycięzcy, który zdobył Nagrody Dnia. Cesarz zwrócił się do jednego z doradców.

— Co, u diabła, dzieje się tam, na dole? — warknął do niego.

Dworzanin wyszeptał coś do komunikatora, a potem przysłuchiwał się odpowiedzi.

— Jakiś szaleniec, Wasza Wysokość — gładko wyjaśnił. — Chce wyzwać zwycięzcę.

— Bardziej prawdopodobne, że pijany — ostro powiedział Rolan. — Niech go natychmiast stąd usuną. I Proszę przekazać Mistrzowi Igrzysk, że rozpoczynamy ceremonię!

Cesarz zwrócił się do smukłej ciemnowłosej dziewczyny siedzącej u jego boku.

— Monica, czy Igrzyska ci się podobały?

— Tak, sire — odpowiedziała pozbawionym emocji głosem.

— Nie nazywaj mnie tak, Monica — powiedział zirytowanym tonem. — Między nami nie powinno być takich formalności.

— Tak, Wuju — poprawiła się dziewczyna.

— Do licha, w ten sposób jeszcze gorzej — stwierdził. — Dla ciebie, jestem po prostu Rolanem. — Położył dłoń na jej jedwabistym kolanie. — A teraz, niech w końcu zacznie się ta nudna ceremonia. Powinienem już dawno być w drodze. Z wielką przyjemnością oczekuję wizyty w mojej posiadłości w Snowdahl.

Cesarz zabębnił palcami, popatrzył w dół, na arenę i uniósł do oczu lornetkę, tylko po to by stwierdzić, że zamieszanie trwa nadal.

— Wyrzucić tego głupca z areny! — krzyknął, opuszczając szkła. — Czy ja mam tutaj czekać, a oni będą targować się z tym idiotą? To nie do zniesienia...

Dworzanie popędzili na dół, podczas gdy Rolan spoglądał gniewnym wzrokiem ze swojego fotela.

Na dole Retief stał przed gronem zirytowanych sędziów. Jeden z nich, który próbował siłą odciągnąć Retiefa do tyłu, leżał bezwładnie na ławce, zajmowało się nim dwóch chirurgów.

— Żądam prawa do wyzwania, na podstawie Statutu — powtarzał Retief. — Mam nadzieję, że nikt tutaj nie będzie taki głupi, aby próbować pozbawić mnie tego prawa, teraz, kiedy przypominałem wam o prawomocności mojego żądania.

Z klatki sterowniczej, znajdującej się bezpośrednio pod lożą Cesarską, wyszedł mężczyzna o twarzy jak wyciosanej z kamienia, w czarnych bryczesach i kurtce, za którym podążało dwóch uzbrojonych ludzi. Urzędnicy pośpieszyli przed niego, rozciągając się sznurem pomiędzy nim a Retieffem, nieustannie wykrzykując. Za Retieffem, po drugiej stronie barierki, stał przyglądający się temu wszystkiemu z niepokojem, Fitzraven. Starszy mężczyzna był pełen niespodzianek, ale nawet jeśli miał prawo do wyzwania Zwycięzcy Igrzysk, jaki cel mógł w ten sposób osiągnąć? Był silny jak tur, ale żaden człowiek w jego wieku nie mógł stawić czoła młodzieńczej sile jasnowłosego wojownika. Fitzraven martwił się, polubił tego starego żołnierza. Nie chciałby go zobaczyć, siedzącego

za stalowymi bramami Więzienia Fragonard, za zakłócenie porządku podczas Turnieju Lillii. Przysunął się bliżej do barierki i patrzył.

Wysoki człowiek w czerni, przeszedł przez paplających urzędników, zatrzymał się przed Retieffem i gestem ręki przywołał swoich strażników do siebie.

Wykonał odprawiający gest w stronę Retieffa.

— Zabrać go z areny — polecił opryskliwie.

Strażnicy podeszli i położyli dłonie na ramionach Retieffa. Pozwolił by go chwycili, a potem nagle zrobił krok w tył i ściągnął ręce do siebie. Obaj strażnicy zderzyli się głowami i potykając się polecili do tyłu. Retieff spojrzał na odzianego na czarno mężczyznę.

— Jeżeli pan jest Mistrzem Igrzysk — stwierdził wyraźnie, — to z pewnością dobrze pan wie, że odznaczony oficer liniowy, ma na podstawie Statutu Cesarskiego, prawo do takiego wyzwania. Niniejszym, powołuję się na tę prerogatywę, aby stanąć w szranki z człowiekiem, który obecnie dzierży pole.

— Wynoś się stąd, ty głupcze! — wysyczał urzędnik, blady z furii. — Sam Cesarz rozkazał...

— Nawet Cesarz nie może łamać Statutu, który datuje swoje działanie na czterysta lat w przeszłość — zimno oznajmił Retieff. — A teraz, niech pan spełni swój obowiązek.

— Koniec z tym bełkotem o obowiązkach i cytowaniem technicznych szczegółów, podczas kiedy Cesarz czeka — warknął urzędnik. Odwrócił się do dwóch strażników, którzy teraz woleli trzymać się z tyłu, przyglądając się Retieffowi.

— Macie pistolety, wyciągnijcie je. Jeśli wydam rozkaz, strzelajcie mu prosto między oczy.

Retieff uniósł rękę i przesunął niewielki bolec w sztywnym kołnierzu swojej tuniki. Lekko postukał palcem po ubraniu. Odgłos stukania zahuczał po całej arenie. Mikrofon dowódcy typu przydzielanego dowódcom liniowym, był bardzo efektywnym urządzeniem.

— **Z**ażądałem prawa do wyzwania dzisiejszego zwycięzcy — ogłosił powoli. Jego słowa przetoczyły się nad areną, jak grzmot. — Prawo takie zagwarantowane jest przez Statut, każdemu Cesarskiemu oficerowi liniowemu, odznaczonemu Srebrną Gwiazdą.

Mistrz Igrzysk wpatrywał się w niego jak osłupiały. Kontrola nad wydarzeniami wymykała mu się z rąk. Skąd u diabła ten szalony starzec zdobył mikrofon i system nagłaśniający? Tłum ryczał teraz jak fala gigantycznego przypływu. To było coś nowego!

Wysoko w górze, w Cesarskiej loży, wysoki, szarooki mężczyzna, właśnie wstawał, kierując się do wyjścia.

— Bezczelność — powiedział głosem dławiącym się ze wściekłości. — I ja miałbym niby siedzieć tutaj, czekając na przyjemność...

Dziewczyna u jego boku zawahała się, słysząc wzmocniony głos huczący nad areną.

— Poczekaj, Rolanie — powiedziała. — Coś się dzieje...
Mężczyzna popatrzył do tyłu.
— Nieco późno — warknął.
— Jeden ze współzawodników, coś dyskutuje — przekazała mu. — Było jakieś obwieszczenie — coś o Cesarskim oficerze, wyzywającym dzisiejszego zwycięzcę.
Cesarz Rolan zwrócił się do pozostającego w pobliżu doradcy.
— Co z tym nonsensem?
Dworzanin skłonił się.
— To tylko drobiazg techniczny, Wasza Wysokość. Formalność ciągnąca się z dawnych czasów.
— Proszę bardziej szczegółowo — ostro rzucił Cesarz.
Doradca stracił nieco ze swego opanowania.
— No cóż, to znaczy, każdy oficer sił Cesarskich, mający przydział liniowy i pewne wysokie odznaczenia, może w dowolnej chwili wejść w szranki, bez spełnienia wcześniejszych warunków kwalifikujących. Zapis do którego nigdy nie odwoływano się we współczesnych...
Cesarz zwrócił się do dziewczyny:
— Zdaje się, że ktoś próbuje obrócić cały pokaz w groteskowe wydarzenie, na mój koszt — stwierdził gorzko. — Zobaczmy tylko, jak daleko...
— Wzywam cię, Cesarzu Rolanie — huczał głos Retiefa, — abyś wymusił stosowanie Kodeksu.
— Co to znowu za bezczelność — warknął Rolan. — Kim jest ten głupiec przy mikrofonie?
Doradca powiedział kilka słów do komunikatora i wysłuchał odpowiedzi.
— Jakiś stary człowiek z widowni, sire. Ma na sobie insygnia dowódcy liniowego i znaczną liczbę odznaczeń, między innymi Srebrną Gwiazdę. Zgodnie z informacją od Archiwisty, jego żądanie wyzwania jest uzasadnione prawnie.
— Nie zgadzam się na to — twardo oświadczył Rolan. — To mogłoby odbić się poważnie na mnie. Polecieć im, aby zabrali stąd tego człowieka. Nie ma wątpliwości, że jest szalony.
Wyszedł z łoży, a jego towarzystwo podążyło za nim.
— Rolanie — spytała dziewczyna, — czyż nie w ten sposób odbywały się Turnieje, kiedyś, za czasów Cesarstwa?
— *To są* czasy Cesarstwa, Monico. A ja nie jestem zainteresowany tym, co bywało kiedyś. To jest dzień dzisiejszy. Czy mam być obecny podczas spektaklu trzęsącego się starego głupca, rąbanego na kawałki w moim imieniu? Nie chcę, by spokojni ludzie musieli przeżywać wstrząs tej rzeźni. To mogłoby mieć niekorzystne skutki dla mojego programu propagandowego. W tej chwili staram się uwypuklić chwalebne aspekty zbliżającej się wojny, a nie te mniej piękne. Dzisiaj i tak już było za dużo rozlewu krwi; to byłby niepomysłny omen dla moich planów ekspansji.

Na dole, na arenie, Mistrz Igrzysk podszedł bliżej do Retiefa. Czuł jak szare oczy Cesarza, świdrują jego plecy. Ten stary kretyn może sprowadzić na niego zagładę.

— Wiem o tobie wszystko! — warknął. — Miałem na ciebie oko, od chwili gdy wymusiłeś dla siebie miejsce na trybunie oficjalnej. Rozmawiałem też z tymi dwoma oficerami... zbiłeś ich z tropu gładką gadaniną i tym wytartym wspaniałym ubiorem, w który się wcisnąłeś. A teraz próbujesz podobnie przejechać się po mnie. No cóż, ja nie dam się tak łatwo zepchnąć na bok. Jeżeli jeszcze choćby chwilę, będziesz się opierał aresztowaniu, każę cię na miejscu zastrzelić!

Retief wyciągnął miecz.

— W imię Kodeksu, na który przysięgałeś, że będziesz mu służyć — powiedział, a jego głos zabrzmiał jak dzwon na całej arenie. — Będę bronił swojego stanowiska. — Uniósł rękę i przełączył boleć na szyi na pełne wzmocnienie.

— Do diabła z tym twoim przeklętym Kodeksem! — ryknął Mistrz i zbladł ze przerażenia, kiedy jego słowa buchnęły wyraźnie i czysto na całej arenie, docierając do uszu setek tysięcy zebranych ludzi. Rozejrzał się dokoła i odwrócił tyłem do Retiefa.

— Ognia — krzyknął.

Trzasnął pistolet i jeden ze strażników okręcił się i upadł. Fitzraven trzymał w ręku mały pistolet energetyczny, wycelowany nad barierką w drugiego ze strażników.

— Co teraz, sir? — spytał czystym głosem.

Odgłos strzału, wzmocniony, huknął ogłuszająco nad areną, a po nim nastąpił ryk tłumu, ryk podniecenia, oszołomienia, wstrząsu. Grupa ludzi wokół Retiefa stała jak wmurowana, wpatrując się w martwego człowieka. Mistrz Igrzysk wydał z siebie jakiś skrzekliwy dźwięk, a oczy robiły mu się coraz szersze. Drugi ze strażników rzucił tylko okiem na pistolet, a potem odwrócił się i uciekł.

Gdzieś spoza areny rozległy się krzyki, a potem z wejścia na nią wyłonił się oddział umundurowanych na brązowo żołnierzy i pomaszerował w stronę Retiefa. Idący na czele oficer trzymał w ręku szybkostrzelną broń elektryczną. Skinięciem dłoni zatrzymał swój oddział, kiedy doszedł w pobliże grupy ludzi. Wpatrywał się wytarty mundur Retiefa, a następnie obrzucił wzrokiem leżące ciało. Retief widział, że oficer jest młody, wygląda na zdecydowanego człowieka i ma na sobie tylko proste insygnia chorążego liniowego.

Mistrz Igrzysk odzyskał głos.

— Aresztować tego nikczemnika! — zaskrzeczał, wskazując na Retiefa.
— Zastrzelić mordercę!

Chorąży wyprężył się w postawie zasadniczej i energicznie zasalutował.

— Proszę o rozkazy, sir — powiedział.

— Przecież ci powiedziałem! — zawył Mistrz. — Schwycić tego złoczyńcę!

Chorąży zwrócił się do odzianego na czarno urzędnika.

— Proszę milczeć, sir, albo będę zmuszony pana stąd usunąć — powiedział ostro. Popatrzył na Retiefa. — Czekam na rozkazy pana dowódcy!

Retief uśmiechnął się, odpowiedział na salut młodego oficera wymachem miecza, a potem schował go do pochwy.

— Cieszę się, że w końcu dotarł tu powiew zdrowego rozsądku, panie chorąży — oznajmił. — Zaczynałem już się obawiać, że wpadłem między Konkordatystów.

Obrażony Mistrz Igrzysk próbował rozpocząć jakąś przemowę. Została ona jednak gwałtownie uciszona przez dwóch policjantów, którzy także pojawili się w międzyczasie. Odprowadzono go, cały czas protestującego. Inni urzędnicy, także rozproszyli się jak poranna mgła, zabierając ze sobą martwego strażnika.

— Zgłosiłem swoje wyzwanie, chorąży — powiedział Retief. — Natychmiast chcę zostać zaprowadzony przed oblicze dzisiejszego zwycięzcy. — Uśmiechnął się. — I chciałbym, żeby pańscy ludzie rozstawili się dookoła, tak by nikt nie przeszkadzał w prawidłowym toku Turnieju, w zgodzie ze Statutem, w jego oryginalnej formie.

Oczy chorążego roziskrzyły się. Ten tutaj, był oficerem liniowym, który brzmiał jak prawdziwy wojownik, a nie jak ten gaduła, dowódca Household Regiment, od którego chorąży otrzymywał tutaj rozkazy. Nie wiedział skąd starszy mężczyzna przybył, ale oficer liniowy przewyższał rangą każdego cywila, czy też sflaczałego żołnierza koszarowego, a ten tutaj był dowódcą liniowym, oficerem w randze generalskiej, i to, w dodatku, z Korpusu Smoków!

Kilka minut później, skarcony Mistrz Igrzysk, zaanonsował zgłoszenie wyzwania dla zwycięzcy. Przywilejem zwycięzcy było wyzwanie przyjąć, bądź je odrzucić, jeżeli tego sobie zażyczył. W tym drugim przypadku, wyzwanie automatycznie musiało być przyjęte w następnym roku.

— Nie wiem co pańscy chłopcy powiedzieli temu człowiekowi — zauważył Retief, kiedy szli do koła wyznaczającego pole walki, z chorążym idącym po lewej stronie i pół kroku z tyłu, — ale zdaje się, że szybko go wyedukowali.

— Oni potrafią być bardzo przekonujący, panie dowódcu — odparł młody oficer.

Doszli do kręgu i stanęli, czekając. A więc teraz, pomyślał Retief, jestem w miejscu, do którego dążyłem. Pytanie brzmi, czy nadal jestem na tyle dobry, by zakończyć to po mojej myśli.

Popatrzył do góry, na zatłoczone trybuny, wsłuchując się w potężny ryk tłumu. Teraz już nie ma dla niego łatwego wyjścia z całej sytuacji. Oczywiście, dzisiejszy zwycięzca może odmówić walki, ma wszelkie prawa, do tego, czując że już zapracował na swój rok odpoczynku i cieszenia się zwycięstwem. Ale dla Retiefa oznaczałoby to porażkę równie ostateczną jak śmierć ma zapiaszczonej ziemi areny. Zaszedł tak daleko wyłącznie dzięki blefowi, pogrożkom i zaskoczeniu. Drugi raz, nigdy nie uda mu się zejść nawet tak blisko celu.

Miał szczęście, że wtedy, po drugiej stronie bramy, wpadł na tego młodego człowieka i wyzwiał go, by wkroczył w szranki. To może posłużyć do pobudzenia jego poczucia osobistej wartości, i wywołać powodowaną gniewem akceptację wyzwania.

Zwycięzca właśnie szedł w stronę Retiefa, otoczony przez sędziów. Wpatrywał się w starszego mężczyznę, a oczy zwęziły mu się lekko. Retief odpowiedział mu spokojnym spojrzeniem.

— Czy to próchno ma być moim pretendentem? — zjadliwie spytał jasnowłosy młodzieniec. — Czy mi się wydaje, czy już kiedyś spotkałem tę wielką gębę.

— Co tu ma do rzeczy moja gęba, kupczyku — głośno odparł Retief. — To nie rozmowę chcę ci oferować, tylko kawałek stali.

Żółtówłosy poczerwieniał, a potem krótko się roześmiał.

— Niewielka to będzie sława, jeśli cię pokonam i przeszyję mieczem, dziaduniu.

— Jeszcze mniejsza, jeśli dasz drapaką — zauważył Retief.

— Nie sprowokujesz mnie do walki tylko dla zaspokojenia twojej spaczonych ambicji, śmierci tutaj — odciął się blondyn.

— To interesujące widzieć — odparł Retief, — jak ten uliczny handlarz obraca językiem, aby uniknąć walki. Takemu motłochowi nie można pozwolić na wstąpienie na grunt honorowy.

Przyglądał się twarzy blondyna, aby ocenić jak na niego działa ten kierunek szyderstwa. To było paskudne w ten sposób wpędzać w zakłopotanie młodego człowieka, wydawał się być dosyć przyzwoitym chłopakiem. Ale musiał go rozwścieczyć do takiego stopnia, by porzucił podszepty rozumu i zrezygnował z właśnie zdobytej nagrody, którą miał w ręku, po to by zaryzykować jeszcze jeden rzut kośćmi. I tym czułym punktem wydawało się wspomnienie o handlu.

— A więc wracaj do swojej kapusty, człowieczku — szorstko dodał Retief, — zanim wysmagam cię płazem mojego miecza.

Młody człowiek popatrzył na niego, studiując postać Retiefa. Jego twarz zrobiła się ponura.

— Dobrze — powiedział cicho. — Spotkamy się w środku koła.

Kolejna bariera pokonana, pomyślał Retief, idąc na swoje miejsce na krawędzi koła. Teraz, trzeba spróbować nakłonić go, by zgodził się na walkę konno...

Retief zwrócił się do sędziego.

— Chciałbym zasugerować, aby ta próba została przeprowadzona na końskim grzbiecie – jeżeli ten kupczyk w ogóle ma jakiegoś konia i nie boi się tego.

Sprawa została przedyskutowana między sędzią i pomocnikami zwycięzcy, z wieloma spojrzeniami kierowanymi na Retiefa i mnóstwem wymachiwania rękoma. Sędzia wrócił.

— Zwycięzca zgadza się spotkać pana w dzień i w nocy, w cieple lub zimnie, na pieszo lub na koniu.

— No to, dobrze — oznajmił Retief. — Proszę powiedzieć mojemu giermkowi, aby sprowadził tu mojego wierzchowca.

Ruch ten nie był spowodowany jakimś bezmyślnym impulsem. Retief nie miał złudzeń, co do sposobu w jaki może odnieść zwycięstwo nad dzisiejszym czempionem. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego nogi, chociaż jeszcze całkiem dobre dla większości spraw życia codziennego, były jego najsłabszym punktem. Nie były to już te zwinne, niezmordowane kończyny, które kiedyś poniosły go do samotnej walki z bandytą Mal de Di, na Przełęczy Bifrost. Dziewięć godzin później zniósł na własnych plecach do wioski, ważące dwieście dziesięć funtów, ciało przestępcy, i to pomimo tego, że miał złamaną rękę. Był wtedy jeszcze niemal chłopcem, młodszym niż ten człowiek, z którym miał się teraz potykać. Podjął wtedy to stałe wyzwanie Mal de Di, dla każdego nieuzbrojonego mężczyzny, który przybędzie samotnie na jego wysoką przełęcz, aby udowodnić, że nie jest zbyt młody, by pełnić rolę mężczyzny. Być może teraz próbuje tylko udowodnić, że nie jest na to zbyt stary...

Zbliżył się sędzia, prowadząc Danger-by-Night. Retief wiedział, że prawidłowa ocena wartości wielkiego, wychudzonego zwierzęcia, wymagała oka eksperta. Dla niedoświadczonego człowieka, stanowił on bardzo przykry widok, ale Retief wołał tego rumaka, z cesarskim znakiem na boku, niż padok pełen pokazowych koni.

Jasnowłosemu zwycięzcy przyprowadzono białego, tłustego konia kawaleryjskiego. Wyglądał na silne zwierzę, pomyślał sobie Retief, ale wydawał się wolny. Jego szanse zaczynały wyglądać lepiej, wszystko szło po jego myśli.

Dźwięczący wybuch całych mas trąbek, przebił się przez wrzask widowni. Retief wszedł na konia, obserwując swojego przeciwnika. Do jego boku podszedł sędzia, wręczając mu ciężką maczugę, nabitą długimi, sterczącymi kolcami.

— Pańska broń, sir — powiedział.

Retief wziął ją do ręki. Był to masywna, niezgrabna kłoda, nigdy wcześniej nie miał do czynienia z taką bronią. Nie znał żadnych technicznych subtelności, walki taką prymitywną pałąką. Jasnowłosy młodzieniec zaskoczył go, przyznał sam sobie, lekko się uśmiechając. Ale, oczywiście, jako strona wyzwana, miał prawo wyboru broni. Wybrał, rzeczywiście, coś naprawdę niezwykłego.

Retief rzucił spojrzeniem na Fitzravena, stojącego za wewnętrzną barierą, z zaciśniętymi szczękami i ponurym wyrazem twarzy. Ten chłopak, pomyślał Retief, nie ma zbyt wiele wiary w to, że moje stare kości zdołają to wytrzymać.

Zabrzmiął gwizdek. Retief ruszył kłusem w kierunku swojego przeciwnika, trzymając maczugę poziomo na siodle. Zdecydował się potraktować ją jak krótki miecz, a przynajmniej tak długo, dopóki będzie to praktyczne. Będzie musiał nauczyć się nią władać przez doświadczenie.

Biały koń przecwałował obok niego, zbaczając, a jasnowłosey zakręcił swoją maczugą, celując w głowę Retiefa. Automatycznym ruchem Retief uniósł swoją pałkę, odbił uderzenie i uderzył na plecy przeciwnika, chybiając. Ta przekłeta rzecz jest za krótka, pomyślał Retief, okręcając konia. Muszę podejść bliżej do niego. Zaszarżował na zwycięzcę, kiedy biały koń był jeszcze w środku obrotu i wymierzył potężne uderzenie w jego uniesioną pałkę, wstrząsając chłopakiem, potem minął go i zawrócił ponownie. Tym razem złapał białego konia jeszcze wcześniej, kiedy zaledwie wszedł w zwrot. Machnął, celując w człowieka, który początkowo próbował wykręcić się w siodle, aby odwrócić się twarzą do niego, a potem dźgnął konia ostrogami i odskoczył. Retief rzucił się za nim, głośno wrzeszcząc. Dobić go, pomyślał. Trafić go dobrze i mocno!

Zwycięzca zboczył nagle, skręcił ponownie i zawrócił ostro swojego konia, skręcając go, aby rzucić się prosto z kopyta, w miażdżącym ataku. Retief ściągnął cugle i Danger-by-Night pogardliwie zrobił unik w bok, kiedy biały koń przemknął obok niego.

To był niezły manewr, pomyślał sobie Retief, ale wolny, za wolny.

Jego maczuga świsnęła w uderzeniu z góry; biały koń nagle podrzucił łbem i maczuga uderzyła prosto w czaszkę zwierzęcia. Z drżeniem całego ciała wierzchowiec upadł na ziemię, a jasnowłosey w ostatniej chwili zeskoczył z siodła.

Retief zawrócił konia, skonsternowany. Nie miał zamiaru zabijać zwierzęcia. Teraz miał prawo ruszyć na przeciwnika i zaatakować go z bezpieczeństwa swego siodła. Kiedy gladiatorzy spotykali się w śmiertelnej walce, nie było żadnych reguł, poza tymi, jakie człowiek sam sobie narzuci. Jeżeli zsiądzie z konia, aby spotkać swego przeciwnika na równych warunkach, przewaga jaką dawał mu jego wierzchowiec, będzie stracona. Popatrzył na rywala, stojącego teraz przodem do niego, z krwią na twarzy, po upadku. Pomyślał o zadaniu, jakie sobie postawił, o planie, który zależał od jego zwycięstwa w tej walce. Przypomniawszy sobie, że był już stary, za stary na to by spotkać się z tym młodzieńcem w walce na równych warunkach. Ale jeszcze kiedy te myśli przebiegały mu przez głowę, zawracał już smukłego, czarnego rumaka, i ześlizgiwał się z siodła. Mężczyzna musi zrobić pewne rzeczy, niezależnie od tego, czy są one logiczne, czy nie. Nie potrafiłby zatłuc człowieka maczugą z siodła, jak wściekłego psa.

Na twarzy zwycięzcy pojawił się dziwny wyraz. Oddał salut trzymaną w ręku maczugą.

— Oddaję ci honor, starcze — powiedział. — A teraz cię zabiję.

Ruszył pewnie w jego stronę.

Retief stał w miejscu, unosząc tylko swoją maczugę, by odbijać uderzenia, przesuwając ją mglnie oka wcześniej, wyprzedzając schemat ataku jasnowłosego. Nastąpiła gorąca wymiana, w której młodszy mężczyzna naciskał Retiefa. W końcu cios otarł się o skronie blondyna, który cofnął się kilka kroków, ciężko oddychając. To wszystko nie szło tak,

jak zaplanował. Ten starzec stał jak kamienna ściana, nie cofając się nawet o krok, a kiedy ich broń się spotykała, było to jak uderzenie w granitowy głaz. Ramię młodzieńca bolało go już od wstrząsów. Ruszył w bok, uważnie krążąc.

Retief obracał się, by stać cały czas przodem do niego. To było ryzykowne rozwiązanie, tak stać i odpierać tylko ataki, ale jego nogi nie były zdolne do jakiegś fantastycznej pracy. Nie miał również ochoty pokazywać przeciwnikowi, jak sztywne były jego ruchy, ani tracić siły na skakanie dookoła. Jego ramiona były ciągle równie dobre, jak ramiona każdego mężczyzny, albo nawet lepsze. Będą musiały wystarczyć do zwycięstwa w tej walce.

Blondyn skoczył na niego i machnął maczugą w potężnym ciosie; Retief odchylił się do tyłu, uderzył na odlew z jednej ręki i poczuł jak pałka łąduje solidnie na szczęcie przeciwnika. Teraz ruszył, poszedł za ciosem, trafił jeszcze raz, w ramię. Młodszy mężczyzna wycofał się, otrząsając głowę. Retief zatrzymał się i czekał. To źle, że nie mógł ruszyć za nim, aby wykorzystać zdobytą przewagę, ale nie był w stanie ścigać tego człowieka po całej arenie. Musiał zachować energię na ważniejsze chwile. Opuścił maczugę i oparł się na niej. Wrzaski tłumu wybuchały i cichły, ale on ich nie zauważał. Słońce zalewało wszystko niczym nie osłoniętą bielą, a kapryśny wiaterek zamyślał pyłem po całej arenie.

— Wracaj, kupczyku — zawołał. — Chcę byś popróbował więcej z moich towarów.

Jeżeli uda mu się podtrzymać gniew tego człowieka, może stać się nieostrożny, a Retief potrzebował każdej możliwej przewagi.

Żółtowłosey zaatakował nagle, wywijając maczugą. Retief uniósł swoją pałkę i poczuł wstrząs, kiedy broń tamtego odbiła się od niej. Zawirował jak fryga, kiedy blondyn biegł wokół niego, przerzucając maczugę do lewej ręki w ostatniej chwili, by odbić kolejne gwałtowne uderzenie. Wtedy jednak palce jego lewej dłoni eksplodowały ogniem męczarni i maczuga wypadła mu z dłoni. W głowie zawirowało mu, przed oczyma zrobiło się ciemno, z bólu z zmiędzonych palców. Odbiegł klusem, zmuszając się do kontroli nad nogami, po kilku mrugnięciach otrząsnął się ze słabości i udało mu się spojrzeć na swoją dłoń. Dwóch palców nie było, zostały rozgniecione, nie do poznania. Stracił też broń, był teraz bezradny wobec ataku przeciwnika.

W głowie mocno mu szumiało, a każdy oddech odczuwał jak sypnięcie gorącego piachu na otwartą ranę. Wyczuwał wszystkie dreszcze rozpoczynające się i kończące w nogach, a cała lewa ręka bolała, jakby maszynka do mielenia odarła ją z ciała. Nigdy nawet nie myślał, że może być tak źle, jak było teraz. Jego ego, uświadomił sobie, nie zestarzało się we właściwy sposób.

Nadeszła twoja godzina, starcze, pomyślał. Nie ma żadnej pomocy, którą mógłbyś wezwać, nie ma żadnej łatwej drogi wyjścia z tej opresji. Musisz poszukać w sobie, jakichś ukrytych rezerw sił, woli przetrwania i

hartu ducha, musisz zacząć jasno myśleć, mądrze, z byстрыm okiem i szybką ręką, inaczej stracisz wszystko. Ruchem zeszytywniałym od szarpiącego go bólu, wyciągnął ceremonialny sztylet, dziesięciocalowe ostrze, z wysadzaną klejnotami rękojeścią. Przynajmniej umrze z bronią w ręku i twarzą w stronę wroga.

Jasnowłosy młodzieniec podszedł bliżej i odrzucił swoją maczugę.

— Czy kupczyk nie może być również zdolny do *beau geste*, tak jak arogancki rycerz? — Roześmiał się, wyciągając zza pasa swój nóż. — Czy twoja głowa jest już jasna, starcze? — spytał. — Jesteś gotów?

— Twój gest... może... się źle dla ciebie skończyć — udało się powiedzieć Retiefowi. Nawet oddychanie bolało. Jego nerwy wyrzaskiwały niesioną wieść o zmiażdżonym ciele i kościach. Czoło miał białe, pokryte zimnym potem.

Młody człowiek zbliżył się i uderzył, Retief uniknął trafienia o cal, robiąc krok do tyłu. Zdał sobie sprawę, że jego ciało nie było w stanie wytrzymać takiego bólu jak ten. Zrobił się miękki, wrażliwy. Zbyt wiele lat był dyplomata, zajmował się działaniem poprzez manipulacje, subtelności, finezję. Teraz, kiedy była to walka człowiek przeciwko człowiekowi, brutalna siła przeciwko brutalnej sile, teraz przegrywał.

Ale przecież, kiedy to wszystko zaczynał, wiedział, że tych sił mu nie wystarczy, że nie tylko z powodu wieku, że powinien polegać przede wszystkim na subtelnościach, na swojej umiejętności zwodzenia przeciwnika, użycia zawilego podstępu.

Retief pochwycił przelotny obraz wpatrzonych w nich ludzkich twarzy na obwodzie areny, przez chwilę usłyszał ryk tłumu, a potem ponownie całkowicie się skoncentrował na oczekującym go zadaniu.

Odetchnął głęboko, walcząc o jasność myśli. Musiał wciągnąć tego chłopca w taki rodzaj walki, w którym miałyby szanse. Gdyby tylko udało mu się jakoś wejść na ambicję rywala, skłonić go do rezygnacji z przewagi niezmordowanej energii, szybkości...

— Czy jesteś uczciwym kupcem, czy też jakimś mistrzem tańca? — zdołał wywarczyć Retief. — Stań więc i spotkajmy się twarzą w twarz.

Blondyn nic na to nie odpowiedział, robiąc szybki zwód, a potem zadając cios. Retief był na to przygotowany i zranił przeciwnika w nadgarstek.

— Jest tylko jeden prawdziwy rodzaj walki – powiedział Retief. — Ale ty będziesz bał się stawić czoła stali starego człowieka, prawa ręka przeciwko prawej ręce.

— Słyszałem o czymś takim — odparł jasnowłosy człowiek, uderzając na Retiefa i odskakując na bok, aby uniknąć zadanego w odpowiedzi cięcia. — Zostało to wymyślone dla starców, którzy nie chcieli być ośmieszani przez jeszcze starszych ludzi. Ja wiem, że uważasz, iż jesteś w stanie wywieść mnie w pole, ale ja potrafię cię pokonać, nawet w twojej własnej grze...

— Mój pomysł jest do twojej dyspozycji – powiedział Retief.

Młodszy mężczyzna podszedł bliżej, trzymając nóż wyciągnięty przed sobą. Jeszcze troszeczkę, pomyślał Retief. Jeszcze tylko odrobinę bliżej.

Oczy jasnowłosego utkwione były w Retiefie. Bez najmniejszego ostrzeżenia, Retief rzucił swój nóż i błyskawicznym ruchem chwycił nadgarstek przeciwnika.

— Teraz możesz się szarpać, rybeńko — powiedział. — I tak szybko cię dostanę.

Dwaj mężczyźni stali pierś w pierś, wpatrując się w oczy przeciwnika. Oddech Retiefa zrobił się ciężki, serce waliło mu niemal boleśnie. Jego lewa ręka była jednym wielkim wiszącym ciężarem pulsującego bólu. Po brudnej od pyłu twarzy spływał mu pot, zalewając oczy. Ale jego chwyt był pewny i mocny. Jasnowłosy młodzieniec na próżno wyteżał się by go zerwać.

Skrętem nadgarstka Retief obrócił ostrze noża, a potem siłą uniósł rękę młodego człowieka. Blondyn walczył, by się przed tym obronić, rzucając na szalę również całą swoją wagę, ale bezproduktywnie. Retief uśmiechnął się.

— Nie zabiję cię — powiedział, — ale będę musiał złamać ci rękę. Po tym nikt nie będzie od ciebie oczekiwał, kontynuacji walki.

— Nie chcę żadnych przysług od ciebie, starcze — wysapał młodzieniec.

— Nie będziesz myślał o tym, jako o przysłudze, dopóki kości ci się nie pozrastają — odparł Retief. — Przyjmij to jako uczciwą odpłatę za moją lewą dłoń.

Pchnął rękę do góry, a potem nagle pociągnął ją do tyłu, zakładając swoim przedramieniem dźwignię na ramię przeciwnika. Szarpnął umęczoną kończynę w dół, za plecy jasnowłosego. Kości głośno trzasnęły i blady jak śmierć młodzieniec sapnął z bólu, zatoczył się i upadł, kiedy Retief go wypuścił.

Minęło kilka chwil zaskoczenia, zanim sędziowie wbiegli do koła, zabrzmiały obwieszczenia, pojawili się lekarze. W tym czasie publiczność z rykiem ogłaszała swoją satysfakcję, jak to zwykle bywa ze zmienną naturą tłumów. Poza tym, byli usatysfakcjonowani.

Do Retiefa przepchnął się jeden z urzędników, noszący na sobie jaskrawe kolory działu Kontroli. Retief sięgnął ręką do góry i ustawił mikrofon na tryb rozgłaszania rozkazów.

— Mam zaszczyt poinformować pana, że wygrał pan zawody i zdobył wszystkie nagrody dnia. — Przerwał, zaskoczony grzmiącymi echami, które rozległy się dookoła.

Widzowie przyglądali się z ciekawością, jak Retief próbuje utrzymać swoją koncentrację na tym człowieku, stać swobodnie, podczas gdy mrok napierał, aby wziąć go w posiadanie. Ból zmiażdżonej dłoni rozszerzał się, skupiał, a następnie przygasał i ponownie napływał. Olbrzymie hausty suchego powietrza, wciągane przez niego do płuc, i tak nie były w stanie

rozproszyć uczucia duszności. Z najwyższym trudem rozumiał znaczenie słów, które wydawały się napływać do niego jakby z wielkiej odległości.

— A teraz, w imieniu Cesarza, za zbrodnie przeciwko prawu i porządkowi w Cesarstwie, nakładam na pana areszt do czasu rozprawy przed Wysokim Sądem we Fragonard.

Retief wciągnął głęboki oddech i zebrał myśli, aby odpowiedzieć.

— Nic — oświadczył, — nie mogłoby mnie bardziej usatysfakcjonować.

Pomieszczenie było ogromne, bogato zdobione i wypełnione dygnitarzami, wysokimi urzędnikami, parami Lili. Tutaj, we wielkiej komnacie, znanej jako Błękitna Izba, siedział w milczących rzędach, czekając, Wysoki Sąd.

Został już odczytany akt oskarżenia i przedstawione dowody, na których się wspierał. Więzień, podający się za para Lili i oficera starożytnego i bardzo zaszczytnego korpusu, obraził prawo Northroyal i władzę Cesarza, dodając do swojej bezczelności morderstwo, dokonane ręką zaprzysiężonego sługi. Czy więzień ma coś do powiedzenia?

Retief, siedział samotnie w ławie dla oskarżonych na środku pomieszczenia, z mocno obandażowaną i znieczuloną przez narkotyk ręką, twarzą do sądu. To była chwila, w której wszystkie jego przygotowania, staną przed ostateczną próbą. Od dawna układał długie i zawile plany na tę godzinę. Archiwa Korpusu, nie miały sobie równych w galaktyce, a on spędził nad nimi wiele tygodni, wchłaniając każdy szczegół z zarejestrowanych tam faktów na temat Northroyal oraz Starego Cesarstwa, które je poprzedzało. Do wiedzy archiwów, dodał jeszcze fakty znane jemu, dane ze swojego własnego, bogatego doświadczenia. Ale czy te wątle włókna uprzedzione z tradycji, pogłosek, plotek i starożytnych zapisów, wytrzymają teraz próbę prawdy? To było ryzyko, na którym zawisł los jego misji. Królików zawsze najlepiej w ogóle nie wyciągać z kapelusza.

Patrzył na zebranych przed sobą dygnitarzy. To była może i okrężna droga, ale jak na razie udało mu się ją pokonać. Miał przed sobą najwyższych urzędników tej planety, najwyższych sędziów, Cesarskiego Archiwistę, oficjalnych strażników Statutu, Kodeksu i rytuałów tradycji, na których opierało się to społeczeństwo. Zaryzykował wszystko, przeprowadzając atak na święte status quo Turnieju, ale w jaki inny sposób mógłby zyskać posłuch tej wybranej widowni, oraz całego Northroyal czekającego w napięciu, aby poznać koniec tego dramatu, któremu wcześniej przypatrywały się setki tysięcy ludzi, w tej chwili doprowadzonego do wstrząsającego punktu szczytowego.

Teraz nadeszła jego kolej, by mówić. I lepiej niech jego przemowa będzie dobra.

— Parowie królestwa — rozpoczął Retief, mówiąc powoli i wyraźnie, — podstawą postawionych mi zarzutów, jest założenie, że sfalszowałem swoją tożsamość. Tymczasem, wszystko co zrobiłem, to tylko domaganie się tradycyjnych praw oficera w randze generała, para Lili, oraz

wynikających ze statusu Kawalera. Opierałem się każdej próbie zmierzającej do pozbawienia mnie tych honorowych prerogatyw. To pożałowania godne, że okazało się, iż niższa warstwa urzędników wydaje się być zupełnie nieświadoma statusu lilijskiego dowódcy liniowego, zakładałam jednak, że tutaj, pośród najwyższej szlachty, kwiatu parów Northroyal, prawo do mojego punktu widzenia, zostanie uhonorowane.

Kiedy Retief na chwilę przerwał, odezwał się srogi starzec z ławy Sędziowskiej.

— Pańskie żądania są dla tego sądu zupełnie niespójne. Nie jest pan znany nikomu z nas; i jeśli nawet jakimś cudem domaga się pan uznania swojego pochodzenia od jednego z renegatów, który opuścił swoich towarzyszy Kawalerów, w czasie Wagnania, to przyniesie to panu niewiele honoru między uczciwymi ludźmi, siedzącymi tutaj. Wynika z tego oczywisty fakt, że łądzi się pan sądząc, że może pan z sukcesem kontynuować swoją maskaradę przed tym sądem.

— Tylko, że ja nie pochodzę z Northroyal — oświadczył Retief, — i nie mam zamiaru pretendować do tej roli. Nie jestem też potomkiem żadnego z renegatów. Czy panowie nie przeoczyli czasami faktu, że jeden ze statków nie towarzyszył Kawalerom na Wagnaniu, ale zmylił czujność Konkordiatu i umknął, aby przygotować się do dalszego oporu przeciwko najazdowi?

Przez salę przebiegł szum poruszanych papierów oraz szeptanych komentarzy, wymienianych przez nachylające się ku sobie głowy. Jeden z sędziów rzekł:

— Wydaje się, że czyni pan sugestie odnośnie do statku przenoszącego na pokładzie osobę Cesarza Roquelle i jego osobistą świtę...

— Tak, to prawda — odparł Retief.

— Coraz bardziej odbiega pan od granicy wiarygodności — ostro oznajmił sędzia. — Cały dwór towarzyszył Cesarzowi Rolanowi, podczas tego szczęśliwego wydarzenia, powrotu jego osoby tutaj, na Northroyal, rok temu.

— Co do tego faktu, będę miał więcej do powiedzenia, później — chłodno stwierdził Retief. — W tej chwili, wystarczy, jeżeli powiem, że jestem prawowitym potomkiem...

— Naprawdę, powiedzenie czegokolwiek *nie* wystarczy do niczego! — warknął sędzia. — Czy ma pan zamiar pouczać ten sąd, odnośnie do tego, jakie dowody mają być przekonujące?

— To była tylko figura retoryczna, Milordzie — powiedział Retief. — Jestem w stanie bez trudu udowodnić moje stwierdzenia.

— Bardzo dobrze — odparł sędzia. — Proszę wobec tego pokazać nam pańskie dowody, chociaż przyznaję, że nie jestem w stanie pojąć, w jaki sposób mogłyby mnie one przekonać.

Retief opuścił rękę, otworzył zatrząsk płaskiej aktówki, przypiętej do pasa i wyciągnął z niej dokument.

— Oto dowód mojej uczciwości — oświadczył. — Przedstawiam go tutaj, jako świadectwo, że nie popełniłem żadnego oszustwa. Jestem pewien, że wszyscy rozpoznają autentyczny patent Cesarza Roquelle. Proszę zauważyć, że pieczęcie są nienaruszone. — Podał dokument.

Paż odebrał ciężki arkusz papieru, przewiązany wyblakłą czerwoną wstęgą i opatrzony pieczęciami o rozmiarze spodka, potruchtał do ławy sędziowskiej i wręczył go sędziemu. Ten wziął go i dokładnie obejrzał ze wszystkich stron, a następnie złamał kruche pieczęcie. Siedzący obok niego sędziowie nachylili się, aby dobrze widzieć to dziwne widowisko. Był to mocno wytłoczony dokument, typu stosowanego w Starym Cesarstwie, zaświadczający o pochodzeniu i tytułach, podpisany niezgrabnymi literami imieniem martwego od dwóch wieków cesarza, opieczętowany jego zmatowiałą, złotą pieczęcią. Sędziowie wpatrywali się w niego ze zdumieniem. Dokument wart był fortunę.

— Proszę, aby ostatni akapit został odczytany na głos — powiedział Retief. — Poprawka dokonana trzydzieści lat temu.

Sędzia zawahał się, a potem skinieniem ręką wezwał do siebie pazia, przekazując mu dokument.

— Proszę odczytać ostatni akapit na głos — polecił.

Paż przeczytał czystym, dobrze wyszkolonym głosem.

NIECHAJ WSZYSCY WIEDZĄ NA PODSTAWIE TEGO DOKUMENTU, CO NASTĘPUJE. OTO JEST NASZ LOJALNY PODDANY I PAR CESARSKIEJ LILII, JAME JARL I LORD RETIEF; OFICER GWARDII CESARSKIEJ, OFICER LINIOWY; DZIEDZICZNY HONOROWY LEGIONISTA; KAWALER LILII; OBROŃCA WYSUNIĘTEGO ZACHODU; Z ŁASKI CESARSKIEJ OFICER SREBRNEJ GWIAZDY; PRZEZ SWOJĄ DZIELNOŚĆ, WIERNOŚĆ I UMIEJĘTNOŚCI PRZYNOSZĄCY HONOR CESARSKIEJ LILII; A JAKO ŻE DARZYMY TEGO PODDANEGO I PARA SPECJALNYM ZAUFANIEM I ESTYMĄ DLATEGO MIANUJEMY GO I ROZKAZUJEMY ABY NIEZWŁOCZNIE PRZYJĄŁ I OD TEJ PORY PIASTOWAŁ HONOROWĄ RANGĘ DOWÓDCY LINIOWEGO; ORAZ BY PONOSIŁ WSZYSTKIE ZWIĄZANE Z NIĄ OBOWIĄZKI JAK TEŻ CIESZYŁ SIĘ NALEŻNYMI DLA NIEJ PRZYWILEJAMI; TAK SAMO JAK JEGO SPADKOBIERCY, NA ZAWSZE.

Kiedy paż skończył odczytywać dokument, w izbie zapadła cisza. Wszystkie oczy zwróciły się na Retiefa, który stał w swojej ławie, z dziwnym wyrazem twarzy.

Paż z powrotem wręczył dokument sędziemu, który ponownie zaczął go dokładnie oglądać.

— Proszę teraz, aby sprawdzono moje wzorce siatkówki oka i porównano z tymi, zakodowanymi w poprawce — zażądał Retief.

Sędzia skinął na posłańca i cała izba przez pięć minut czekała z niepokojem na przybycie eksperta, który szybko dokonał niezbędnych sprawdzeń. Podeszedł do ławy sędziowskiej, wręczył raport z ich wyników i

opuścił salę sądową. Sędzia spojrział na formularz, i ponownie wrócił do studiowania dokumentu. Pod pieczęcią Roquelle znajdowało się wiele rozmaitych poprawek, każda z nich podpisana i opieczętowana. Sędziowie odczytywali znajdujące się tam nieznajome imiona.

— Skąd pan to ma — zaczął dopytywać się sędzia.

— Dokument ten był własnością mojej rodziny od dziewięciu pokoleń — odparł Retief.

Głowy pochylały się nad dokumentem, siwe brody poruszały się.

— Jak to jest — zapytał sędzia, — że przedstawia pan jako dowód dokument, zawierający dopiski potwierdzone przez podpisy i pieczęcie zupełnie nam nie znane? W celu wywarcia wrażenia na tym sądzie, taka legitymizacja powinna raczej być opatrzona imionami rzeczywistych byłych cesarzy, a nie jakichś fikcyjnych. Zauważyłem, że ostatnia poprawka, której celem jest certyfikacja pańskiej wysokiej rangi wojskowej, datowana tylko trzydzieści lat temu, podpisana jest „Ronare”.

— W tamtym czasie byłem przydzielony do Cesarskiego Dworu na Wygnaniu — wyjaśnił Retief. — Dowodziłem siłami Cesarza Ronare.

Sędzia i wielu z pozostałych członków sądu, otwarcie parsknęli.

— Taka impertynencja, nie może być już dłużej tolerowana — ostro rzekł stary urzędnik. — Ronare, doprawdy. Opowiada pan o jakimś nieistniejącym władcy. W czasie, którego ma niby dotyczyć ten dokument, Cesarskie Lenno na Trallend dzierżył ojciec naszego obecnego monarchy.

— W czasie wydania tego dokumentu — oznajmił Retief dźwięcznym głosem, — ojciec waszego obecnego władcy mógł sobie co najwyżej dzierżyć wodze konia, na którego wsiadał Cesarz!

Ze wszystkich stron buchnął zgiewk. Na próżno sędzia walił młotkiem, próbując go uciszyć. Porządek został w końcu przywrócony, przez tyczkowego urzędnika, który wstał i wrzasnął, domagając się głosu. Ryk zamarł, a chudy człowiek, odziany w aksamitne, brązowe szary, ze złotym łańcuchem Mistrza Pieczęci na szyi, wykrzyknął:

— Niech sąd uzna tego zdrajcę za winnego wszystkich zarzucanych mu czynów i skończmy wreszcie z tą niemożliwą do zniesienia bezczelnością...

— Northroyal padło ofiarą oszustwa — powiedział głośno Retief, we względnej ciszy. — Ten człowiek, Rolan, jest oszustem.

Gromkie walenie młotkiem i laską, w końcu zmusiło obrażonych urzędników do zapadnięcia w ponurą ciszę. Przewodniczący Sądu popatrzył z góry na Retiefa, z wyrokiem w zwężonych oczach.

— Pańska znajomość języka Lilijskiego, praktykowanych w tym sądzie zasad oraz zgodność wzorców pańskich siatkówek oczu z zapisanymi w patencie, skłaniają nas do uznania pańskiego pochodzenia z Cesarstwa. W związku z tym, ten sąd może teraz określić, że należy pan do najpodlejszych z winowajców, zdrajców godności para. — Podniósł głos. — Niech zostanie zapisane, że Jame Jarl, lord Cesarskiej Lilii i oficer Gwardii

Cesarskiej, poprzez własne słowa wyparł się swoich przysiąg i swojego rodu. — Rozemocjonowany starzec gniewnie wpatrywał się w swoich współsędziów. — A teraz, niech zostanie orzeczona kara degradacji ze stanu oficerskiego!

— Mam dowód na to, co powiedziałem! — zawołał Retief. — Mnie samemu nie zostało udowodnione nic! Działalem w ramach Kodeksu, i teraz na mocy Kodeksu domagam się, aby mnie wysłuchano!

— Zbezcześciłeś Kodeks — oznajmił jakiś gruby dostojnik.

— Powiedziałem wam, że na tronie Lilii siedzi uzurpator — zaprzeczył Retief. — Jeżeli nie będę w stanie tego udowodnić, możecie mnie stracić.

Zapadła lodowata cisza.

— Bardzo dobrze — przerwał ją przewodniczący sądu. — Niech pan przedstawi swój dowód.

— Kiedy pojawił się ten człowiek, Rolan — powiedział Retief, — przedstawił pierścień i pieczęć, szatę ceremonialną, większą część klejnotów koronnych i Cesarski Rodowód.

— To prawda.

— Czy zauważono może, że pieczęć pozbawiona była łańcucha, szata była poplamiona, zaś najważniejszego z klejnotów, starożytnego Szmaragdu Napoleona, brakowało? Ponadto na pierścieniu znajdowały się głębokie zadrapania, a zamek na księdze został otworzony siłą?

W ławach wysokiego sądu podniósł się szmer. Skupione oczy wpatrywały się intensywnie w Retiefa.

— I czy nie uznano tego za dziwne, że ten niby to Cesarz, nie przedstawił Cesarskiego sygnetu, kiedy właśnie ten sygnet, jako taki, stanowi prawdziwy symbol władzy Cesarskiej? — Głos Retiefa nabrał siły gromu.

Sędzia spoglądał na niego, teraz już z innymi emocjami w oczach.

— Co pan wie o tych sprawach — dopytywał się, ale już bez tej pewności siebie.

Retief sięgnął do małej skórzanej torby, którą miał przy boku, wyciągnął z niej coś, co uniósł w dłoni, aby wszyscy zobaczyli.

— Oto jest zerwany łańcuch — oświadczył. — Został przecięty, kiedy pieczęć została ukradziona ze swojego miejsca na Dworze na Wygnaniu. — Położył ciężkie ogniwa na wąskim pulpicie przed sobą. — Oto — powiedział, — jest Szmaragd Napoleona, noszony kiedyś w pierścieniu przez legendarnego Bonapartego. Jest jedyny w całej galaktyce, łatwo więc będzie udowodnić jego autentyczność. — Teraz panowała już zupełna cisza. Retief obok łańcucha i klejnotu, umieścił mały kluczyk. — Ten klucz otworzy przełamany zamek w Cesarskich Zapisach Genealogicznych.

Retief wyciągnął bogato zdobioną małą, srebrną szkatułkę i przytrzymał ją tak, by wszyscy widzieli.

— Plamy na szacie, to krew Cesarza Ronare, wytoczona przez nóż jego zabójcy. Pierścień został zadrapany przez ten sam nóż, użyty do odcięcia palca, w celu zdjęcia pierścienia.

Przez salę przebiegł teraz szmer przejętych grozą komentarzy. Retief czekał, aby wszystkie oczy spoczęły na srebrnej szkatułce, która trzymał w dłoni. Zawierała ona naprawdę fenomenalną kopię Cesarskiego

Sygnetu; podobnie jak łańcuch, klucz i szmaragd, sygnet był najlepszym duplikatem, jaki byli w stanie wyprodukować naukowcy Korpusu, dokładnym nawet co do wewnętrznej struktury molekularnej. Musiał taki być, jeśli miał mieć choćby szansę na akceptację. Bez zwłoki zostanie poddany badaniom, porównany z matrycą elektroniczną, z którą powinien, jeśli miałby zostać przyjęty, dokładnie rezonansować. Kopia została wykonana na podstawie pewnych doskonałych zapisów graficznych oryginalnego sygnetu, który, jak wiedział Retief, został bezpowrotnie utracony w katastrofalnym pożarze pałacu, półtora wieku temu.

Otworzył szkatułkę i pokazał wszystkim wspaniały, czerwony jak wino kryształ, osadzony w platynie. Teraz nastąpił moment kulminacyjny.

— Oto talizman, który już sam dowodzi fałszywości uzurpatora Rolana — oznajmił Retief. — Wzywam przed tym znamienitym Wysokim Sądem, aby porównać go z macierzą, a kiedy to będzie robione, proszę dostojnych sędziów, aby przestudiowali dokładnie genealogię zamieszczoną w patencie Cesarskim, przedstawionym przeze mnie sądowi.

Posłano woźnego, aby przyniósł macierz, podczas gdy sędziowie dostosowali ogniskową swoich soczewek korekcyjnych i zebrali się wokół dokumentu. Izba wręcz kipiała napięciem i podnieceniem. To był naprawdę fantastyczny rozwój sytuacji!

Sędzia Przewodniczący uniósł głowę i popatrzył na potężne urządzenie zawierające macierz, wtaczane właśnie do pomieszczenia. Wpatrywał się w Retiefa.

— Ta genealogia... — zaczął mówić.

Inny z sędziów złapał go za rękaw, wskazując na maszynę i coś szepcząc. Przewodniczący skinął przytakująco głową.

Retief ostrożnie wręczył szkatułkę paziowi, a następnie obserwował jak została otwarta komora urządzenia i umieszczono w niej szkatułkę. Wstrzymał oddech kiedy technicy zaczęli kręcić kontrolkami, studiować tarcze mierników, a potem włączyli urządzenie. Z maszyny wydobył się dźwięczny, melodyjny ton.

Technik uniósł głowę.

— Kryształ — powiedział, — pasuje do matrycy.

Pośród wybuchów okrzyków, które zamarły, kiedy Retief odwrócił się twarzą do przewodniczącego, przemówił.

— Moi panowie, parowie Lilii — oznajmił dźwięcznym, donośnym głosem, — wiecie już dzięki temu sygnetowi, że my, Retief, z łaski Bożej Cesarz, żądamy teraz należnego nam prawem tronu.

I tak szybko, jak okrzyki zamarły, tak samo szybko ponownie się podniosły – mieszanina zaskoczenia i strachu.

EPILOG

— **K**awał doskonałej roboty, panie ministrze, i gratulacje z powodu awansu — ciepło powiedział ambasador. — Pokazał pan, że indywidualizm i nieortodoksyjne podejście mogą zdziałać cuda tam gdzie, z akademickiego punktu widzenia, należałoby ocenić sytuację jako beznadziejną.

— Dziękuję bardzo, panie ambasadorze — odparł Retief, uśmiechając się. — Sam byłem zaskoczony, kiedy wszystko już się skończyło, że to moje hazardowe posunięcie, opłaciło się. Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że nigdy już nie znajdę się w sytuacji, w której ponownie będę musiał wykazać się taką... pomysłowością.

— Teraz, to już może jest nieistotne — rzekł ambasador, — ale kiedy zobaczyłem raport Magnana, o pańskim jednoosobowym przydziale do tego zadania, naprawdę próbowałem pana to anulować, ale było już za późno. Przydział jednego agenta do zadania o takich szerokich implikacjach jak w tym przypadku, to było kiepskie załatwienie sprawy. Obawiam się, że pan Magnan, niezbyt dobrze zniósł napięcie naszej pracy. W tej chwili znajduje się na długim urlopie wypoczynkowym...

Retief zrozumiał doskonale. Jego były szef dostał po uszach, a on sam wyłonił się jak feniks z popiołów, odziany w czystą cnotę. To była jedna z korzyści z tego rodzaju desperackich przedsięwzięć: Jeżeli już się udały, zysk był naprawdę pokaźny. Przy swojej nowej randze, miał przed sobą długą kadencję. Miał nadzieję, że następne zadanie, będzie czymś skomplikowanym i w miejscu leżącym daleko od Northroyal. Przebiegł myślą ostatnie, wypełnione po brzegi zajęciami, tygodnie swojego krótkiego tam panowania, jako Cesarza. Wśród nich wyróżniała się burzliwa scena, kiedy z uporem opierający się Rolan, został sprowadzony przed oblicze Wysokiego Sądu. Powieszono go na godzinę przed wschodem słońca, następnego dnia, ciągle domagającego się uznania swojej autentyczności. Przynajmniej to było kłamstwem. Retief był wdzięczny losowi, że miał dowody oszustwa Rolana, ponieważ posłałby go na szubienicę, tworząc fałszywe materiały dowodowe, nawet gdyby był on prawdziwym dziedzicem cesarskiego tronu.

Pierwszym jego czynem po formalnej intronizacji, było stworzenie wyłomów w odwiecznych zasadach turnieju, i formalne anulowanie wszystkich genealogicznych wymagań, zarówno publicznych, jak i prywatnych, dla zapisujących się do niego. Poleciał uwolnić i awansować chorążego liniowego, który zignorował rozkaz Rolana, aby go aresztować, i za karę sam został uwięziony. Fitzraven został zapisany do Cesarskiej Szkoły Wojskowej – miał więc zapewnioną przyszłość.

Retief uśmiechnął się, przypominając sobie, zakłopotanie młodego mężczyzny, który był razem z nim współfinalistą turnieju. Oferował mu satysfakcję w honorowej walce, kiedy tylko jasnowłosemu wyzdrowieje ręka, i w odpowiedzi został poproszony o wybaczenie, za złą ocenę swojej osoby. Mianował go kapitanem Gwardii i parem królestwa. Miał odpowiednie cechy i ducha na to stanowisko.

Było jeszcze znacznie więcej do zrobienia i dni Retiefa wypełnione były fantastycznie skomplikowanymi szczegółami uwolnienia struktury społecznej Northroyal, od rujnujących ją reakcyjnych ograniczeń, skostniałych obyczajów i uświęconych tradycji. W końcu opracował nową, lepiej działającą konstytucję dla królestwa, która, jak miał nadzieję, powinna skierować tę planetę na oświeconą i dynamiczną ścieżkę do produktywnej przyszłości.

Jego myśli przyjemnie zbłądziły na wspomnienie Księżniczki Moniki, prawdziwej księżniczki Lillii, ze starej linii. Retief abdykował na jej korzyść; jej genealogia była naszpikowana wystarczającą liczbą cesarskich przodków, aby usatysfakcjonować nawet najbardziej purystycznie nastawionych parów ze Starej Gwardii. Oczywiście, nie mogło to się równać z tym sympatycznym dokumentem, który przedstawił im on, pokazującym jego pochodzenie w prostej linii od zaginionego monarchy obłożonego Cesarstwa Lillii, przez siedem – a może było to osiem – pokoleń Cesarzy na wygnaniu, ale było to wystarczająco dużo, by usprawiedliwić jego wybór. Odrzucona uzurpacja Rolana przynajmniej miała ten efekt, że Northroyalanie potrafili docenić oświeconego władcę.

Na koniec, nie było łatwo odwrócić się od tronu Cesarstwa, na którym tak łatwo się usiadło. Nielekko również było powiedzieć „do widzenia” ślicznej Monice, która przypominała mu inną ciemnowłosą piękność, sprzed wielu lat.

Kilka tygodni spędzonych w nowoczesnym szpitalu uleczyło poważniejsze skutki jego krótkotrwałej kariery jako gladiatora, i był już gotów na kolejny epizod, jaki przeznaczenie i Korpus mogły mieć dla niego na składzie. Ale nieprędko zapomni o Northroyal...

— ... wspaniała pomysłowość — ktoś mówił do niego. — Musiał pan przyswoić sobie olbrzymią wiedzę na temat tła całej sytuacji, aby móc z góry przygotować sobie właśnie te artefakty i dokumenty, które później okazały się mieć największe znaczenie. A techniczna umiejętność samego ich przygotowania. Niesamowite. Pomyśleć tylko, że był pan w stanie oszukać najwyższych kapłanów kultu, w samej jaskini lwa, w najświętszej z jego świątyń.

— To po prostu wynik dokładnych badań — skromnie oświadczył Retief. — Wszystko, czego potrzebowałem do późniejszych badań, było zawarte w naszych aktach. Wykonanie Sygnetu, było naprawdę dobrą robotą, ale zasługi za to, należą się naszym technikom, a nie mnie.

— Na mnie, większe nawet wrażenie zrobił ten dokument — powiedział młody radca. — Jak olbrzymiej wiedzy na temat ich psychologii i znajomości szczegółów technicznych, on wymagał.

Retief lekko się uśmiechnął. Wszyscy inni już rozeszli się po wielkim holu, znikając wśród gwaru rozmów. Czas już było iść. Spojrzył na pełnego zapału młodszego agenta.

— Nie — powiedział. — To akurat, zupełnie nie było moją zasługą. Posiadałem ten dokument od wielu lat i przynajmniej on, był absolutnie autentyczny.

KONIEC